N. 37. WARSZAWA d. 4 (16) Września 1871 ROKU



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Do oczu ukochanéj.

(PIOSENKA)

Ach! wy oczy—barwne kwiaty!
Czarodziejskie ducha światy!
Wy jesteście jak dwa słońca,
Jaśniejące mi bez końca
Po przez życia niepokoje!
Ja was tylko znam, was dwoje

I choć moja ukochana,
Położyła się już w grobie,
W snach wieczora, jawie rana,
Tylko o niéj marzę sobie.

Czyż to dziwne, że z téj ziemi
Smutku tęsknię do tych oczu,
W których niby w wód przezroczu
Cały raj lśnił z barwy swemi?
Czyż to dziwne? Wszędzie przecie,
Wzdłuż i wszerz na całym świecie,
Tam, gdzie życie krąg swój toczy,
Wszystko ma swe święte oczy.

W matki naszéj ziemi łonie:
Błyszczą cudne dyjamenty
Jako oczy jaśniejące;
W wiośnie oko róży płonie—

Dzień ma swoje oko: słońce,
A noc gwiazd ma firmamenty,
Więc niedziwcie się, jeżeli
I ja mam jéj oczu dwoje,
Co mnie wiodą jak anieli
Po przez życia niepokoje.

Ach! te oczy żyją jeszcze,
Żyją mówię, bo ot wczora,
Gdy po pracy, już z wieczora
Marzeniami duszę pieszczę,
Spojrzę w górę, a nademną,
Choć na niebie były ciemno,
Jak dwie gwiazdki zwisły wieszcze.

. . . .

Maksymilian Przedecki.

WINCENTY POL

JAKO PROZAIK,

Studjum K. Wł. Wojcickiego.

(Dalszy ciąg.)

„Futory, (mówi Pol) są to małe zagrody, czasami wśród lasów sady, czasami pasieki, a niekiedy i *basztany* [1]) w zaciszu uroczysk, padołów lub jarów leżące, która po ustroniach zdala majeczeją, przerywając jednostajność stepów.

„Co to za widok, kiedy na wiosnę zakwitną futory! Jak mlekiem oblane, bieleją się całe padoły—krajem rozrasta się krzewista czeremcha, najwyżéj wystrzela czereśnia, najpotężniéj grusza. Białą patokę, miód bodjakowy, składa pszczoła w małych ulach, basztan porasta rozłożystym liściem i okrywa się złotym kwiatem, a nad futorem wznosi się rankami i wieczorami dym błękitny. z małego ogniska, nad którem się stary zadumał pasiecznik.

„Bywa tu zwykle i woda, i zacisz, i chłód: czasem bywają przy futorach i toki ze zbożem i stogi z sianem, i koszary z bydłem pod gołem niebem. Czasem leży kilka, a nawet kilkanaście futorów w jednym lesie, pomiędzy rozrosłemi jarami, i przy każdym są sady, a kiedy sadowina na wiosnę okwitnie, wyglądają mleczne płaty z pomiędzy majowéj zieloności lasów i już zdaleka policzysz futory!"

Pol te obrazy pustyń trawnych i bezlesnych stepów, ożywia postaciami ludzi, których na tych obszarach spotyka. Do mogił ukrainnych przyrósł oddawna *Lirnik*, prawie zawsze ociemniały, ów przechowywacz duchowy starych dum i pieśni.

Takiego starca stawia nam przed oczyma, a znał go w młodych leciech swoich Pol, i uczył się od niego dum dawnych ludowych. Chodził on od wioski do wioski, był od wszystkich znany i lubiony, bo śpiewał pobożne i światowe pieśni, miał głos bardzo wyrobiony, i przygrywał po mistrzowsku na lirze. Głęboka czułość i dobór pieśni. które do każdéj chwili dnia i nocy stosować umiał, skupiały koło niego gromady ludzi, wszędzie gdzie się tylko przysiadł, wszędzie gdzie się tylko ozwało granie jego liry. Dziwnie też umiał obierać miejsca spoczynku i chwilę w któréj przybywał do dworu lub do wsi. Tu przysiadł się na okopie cmentarza, tam koło bramy, około cerkwi lub kościoła, pod krzyżem miejskiéj drogi lub na mogile, a kiedy się lira jego ozwała w krótkich, załośnych przygrywkach, biegły niewiasty i dzieci ku niemu, a ze dworu wychodziła cała drużyna, by się przysłuchać graniu jego liry i pieśniom starego *Pańka*.

Pol znał w młodości swéj tego *Pańka*, i maluje nam poetycznie jego postać. Ale w owym czasie jeszcze nie rzadko można było zobaczyć takiego lirnika. W saméj Warszawie chodził starzec zwany pospolicie *niebieski płaszcz*, bo go nosił nieodstępnie, a grywał i śpiewał stare dumy po podwórzach domów i w *Krasińskim ogrodzie*. Do dziś dnia na *Pokuciu* nad Prutem istnieją lirnicy, i ten zawód grajków i śpiewaków utrzymuje się stale w pewnych *rodach* ludowych.

Zamykamy pogląd na stepy, dwoma wymownemi obrazami Pola.

„Co do samych stepów Ukrainy, osobliwym jest ich widok! Niby to biała karta w dziejach przyrodzenia, czy wielkie pobojowisko tumanów! Świat otworem leżący, wietrzny, rozwiany i nieustalony. Myśl, zdaje się tutaj tęsknić za rozleglejszym widokiem, a oko niezdoła objąć tego, co widzi. Nigdzie nie ujrzeć drzewa na właściwym stepie, i tylko szumną trawą porasta odłóg wieczysty. Jedyne wynioślejsze miejsca są liczne mogiły. Odmiany, ja-

[1]) Basztan, wyorany kawał ziemi z nowiny na wypalonym stepie, na którym zasiewają się kawony, melony, kukurydza, fasola, i ogórki.

kie się tutaj zresztą spostrzegać dają, powstają z wklęsłości i zapadalisk ziemi. Są tu albo wądoły, suche kotliny, albo małe jeziora *Bałkami* zwane, czasem rzędem obok siebie leżące, czasami z osobna, bez własnéj wody i widocznego odchodu. Brzegi tych jeziorek są zwykle trzciną, osoką i tatarskiem zielem porosłe, lub ogromnemi kępami skrzypiu najeżone, a śniegi i deszcze zasilają ich kotliny wodą.

„Podobne kotliny i zapadliska, ale suchsze i płytsze, czasami ciągną się nieraz na milę wzdłuż stepów, i porastają całe lasem pierzastéj trzciny. Są to tak zwane *Oczerety*, po których jak po kniejach, całemi dniami polują i błądzą myśliwi. Szelest tych oczeretów wichrem zamąconych, wydaje gwar osobliwy, ani z szumem borów, ani z szumem wód nieporównany — ostry, szorstki, przykry, niekiedy przeciągły i rzewny, dziwnie zgodzony z widokiem téj ziemi i z ojczyzną mogił!

„W miejscach gdzie się step widoczniéj i naglej stacza lub ku rzekom przybliża, ciągną się tak zwane *wodomyje* czyli *wyrwy*, które są początkiem jarów i w jary częstokroć przechodzą. Tutaj urywa się ziemia, i ciągną się głębokie chłodne doły, a nagle ożywia się kraj. Zbocza tych jarów, niekiedy nagie i skaliste, niekiedy ziemią zaniesione, porastają rozkosznemi drzewami różnego rodzaju, i zazwyczaj widać tu dęby i brzozy, jawory i brzosty, jesiony, lipy i klony czarne obok siebie rosnące, dereniami i leszczyną gęsto podszyte. U dna, na wycięciu lub wklęsłości takich jarów, bije zwykle krynica i sączy się ruczaj niekiedy, a lud nazywa takie porosty mięszanego drzewa, *Czaharami*, *Bajrakami*. Drzewa te są bujniejsze i większe niż gdziekolwiek, a ciemna zieloność liści, która o sile roślinności świadczy, trwa jednostajnie świeża do późnéj jesieni.“

Teraz zwraca autor spojrzenie na step uprawny ręką człowieka, i step pozostawiony samotnie, na którym pług się nieukazuje.

„Nic bardziéj zajmującego jak wielka warcabnica uprawnych ról i łanów w krainach stepowych, mianowicie zaś w czasie, kiedy każdy rodzaj zboża inny przybiera koloryt, a łany hreczki kwitnącéj, wydają się zdaleka do wielkich jezior lub stawów podobne. Szmaragdowa zieloność ozimych posiewów, ćmi i mieni się po czarnych rolach tak bujno, że kiedy stada gawronów na zaruniony łan spada, ginie rozbita chmura ptastwa w tym runie, jakby cudem do razu, i zaledwie pojąć można, jak i na czem się ta chmura rozbiła. Rosy też obfite, które nawet pod najsuchszą porę ożywiają roślinność, dodają niemało uroku téj ziemi. Już słońce nieraz podbiegało wysoko, a tu stoją jeszcze całe kielichy kwiatów i zwoje burzanów napełnione wodą, tak że z nich nie tylko ptaszek, nietylko zwierzątko, ale i człowiek wody napić się może: na roślinach też szerokiego liścia, i na wszystkich tykwowych rozłożystego liścia, skrapla się rosa jak gdyby w talerzach.

„Gdzie człowiek gospodarzy pługiem, tam wypuszcza natura z opieki i gospodarstwa swojego te ziemie stepowe: ale gdzie człowiek w odłóg puszcza step, tam rozpoczyna stepowy płodozmian na nowo gospodarstwo swoje. Stepowy, mówię płodozmiam, który z kolei zawsze po sobie następuje. I tak: po zbiorze oziminy, rodzą się nieraz jeszcze w następnym roku *padaliczne* zboża, które nie gorsze bywają od sianych, zazwyczaj daleko lepsze, a to głównie dla tego, bo zboże ledwo z kłosa opadłe, kiełkuje już pod wpływem bogatéj rosy i zarunia ziemię, i niedozwala się podnieść chwastom, na których czas kiełkowania dopiero na wiosnę przypada [1]).

„Po *padalicznym* roku, jeżeli stepowe ziemie w ugór idą, wschodzi gęsto na całym łanie zaraz z wiosny *dziewanna*, i pędzi w górę tak silnie na sześć do ośmiu stóp, iż kiedy do kwiatu dochodzi, to staje się lasem. Aksamitne, mszyste, bujne liście dziewanny, rozkładają się szerokiem wieńcem na ziemi, a z tego wieńca wystrzela smukła kolumna, która się do koła złotym okrywa kwiatem. W stepie, gdzie brak dodatnich kolorów, świeci złocisty las dziewanny: zdaleka patrząc na niego, i wiedząc o tem co to nasienia z jednéj takiéj wytryśnie kolumny, sądzićby można, że cała okolica z tego posiewu zarośnie dziewanną, ale gdzie tam wiatr zimowy i śnieg połamał smukłe kolumny, zwietrzały na burzy, wyschły i znikły na wietrze, a tam gdzie jeszcze tak rok był las dziewanny, ani jednego jéj krzaczka nie znajdziesz, i ani jedno ziarnko z całego jéj posiewu nie kiełkuje.

„Po roku *Dziewanny*, idzie rok *Bylicy* [2]) (arthemisia.) Siwawo srebrna, a późniéj szara zieloność okrywa tu te odłogi gęstemi zaroślami bylicy. Inszy jest poświst wiatru, kiedy szumi w lesie dziewanny, któremu się opierają silne, wysmukłe kolumny, a inszy wśród zarośli bylicy, któréj wątłe i soczyste latorośle, nie dają wiatrom odporu.

„Gdy dwa lata pogospodarzył wiatr na tym ugorze i naniósł puchy *bodjaków*, które nieraz w całe runa zwija, pędząc niemi stepem, następują po roku bylicy, *roki bodjaków*, i cały ten step okrywa się ostrem listowiem, ozdobnych liści naprzód, następnie różowym, czerwonym i białym kwiatem, a w końcu srebrnym puchem nasion kilkunastu rodzaju *ostów*, które znowu swoją koléj mają.

„Dzika roslinność stepu, zdaje się być tutaj w pełnéj sile. Panowanie *ostów* trwa po bylicach dwa a nawet trzy lata, i ani dziewanna ani bylica nie dochodzi téj siły i wielkości, co oset; ztąd też może tu być mowa o losie bodjaków, w których się i zwierz, koń i człowiek przechowa pod ochroną tego losu. Dopiero poczyna się okrywać ziemia pasznistemi trawami, naprzód rocznemi tylko, a następnie już i zimotrwałemi, i w miarę jak się runo traw zrasta i okrywa ziemię, niknie zwolna las bodjaków.

„Paszniste stepy koszą się jak łąki, dopóki step nie zdziczeje, to jest: dopóki słoneczne mchy nie przygłuszą traw pasznistych.

„Stepy zdziczałe były ztąd *dzikiemi polami* zwane: okrywają się one rudą, martwą zielonością, kępami kretowin porosłych mchem, gniazdami *susłów i chomiaków*, i na nich składa szarańcza swe jaja“.

* * *

Jeżeli obrazy to lodowisk, to stepów zajmują nas urokiem poetycznym i artystycznie wykończoném malowidłem: poważny myśliciel, zarówno jak badacz przyrody, znajdzie obfity zapas nowych spostrzeżeń, godny każdego uwagi.

Za *Andrzejowskim*, wskazuje dzielnice charakterystyczne roślinności; spostrzeżenia jego dopełnia sam Pol na właściwych miejscowościach, i wykreśla linje gdzie się styka klimat morski z kontynentalnym klimatem krain stepowych, bieg rzek, osiadłe bory i lasy. Przywodzi właściwe ludowe nazwy rozmaitych okolic, które nauka przyjąć musi, wskazuje kierunek Dniestru i Dniepru, początek stepowych obszarów, piaszczystych łanów. Określa kierunek słynnego w dziejach *Czarnego szlaku* i dawnéj Ukrainy, gdzie spotykamy *Stepy bezwodne*, *Step Dniepru i Bohu*, *wielki Step Ingułyi Step umarłych*.

Bada strefę właściwą, jak i rodzajność gleby, zarówno jak faunę miejscową, ptaki i zwierza przyrosłego do tych okolic.

Wśród obrazów natury tak uroczo przestawianych, które ożywia Pol, człowiekiem i scenami dramatycznemi (1) czytelnik zdobywa coraz nowe a obce dlań dotąd wiadomości, rozpatruje się w tych nieznanych sobie okolicach tak odmiennych, i odbywa z autorem, dzięki jego talentowi, jednę z najprzyjemniejszych a pełną wrażeń wędrówkę.

Pol we wstępie na czele pierwszego tomu tych *obrazów* pragnął, ażeby dzieło jego uważane być mogło za *przewodnika*, w téj myśli, że: „ma zamiar zwrócić wzrok duszy na widoki natury.“

Zadaniu temu godnie odpowiedział.

(d. c. n.)

NAJDAWNIEJSZA PODRÓŻ POLAKÓW

PO AZJI.

Kiedy w r. 1240 Batu-han z niezliczonym ludem Mongołów wyprawił się na zawojowanie całéj Europy, osłabionéj wewnętrznemi rozterkami, pociągnął najprzód na Węgry, a Bajdara czyli Petę wyprawił w prowincije dawną Polskę składające. Po pożodze i spustoszeniu jakiemi znaczyli każdy swój pochód Mongołowie w Węgrzech, zaczęli się zbliżać do Szlązka, i w pochodzie swoim rzeki przybywali, trzymając się ogonów końskich lub worów skórzanych wydętych jak pęcherze, o czem liczne wzmianki w kronikach ówczesowych spotkać można.

Po krawawéj bitwie pod Lignicą, w któréj zginął Henryk książe Szlązki wraz z mnóstwem rycerstwa polskiego, pochód dziczy wstrzymany został. Zwycięztwo wprawdzie było wątpliwe, ale mongołowie zbyt wiele mieli narabowanych łupów, aby doznawszy tak wielkiego oporu, chcieli się narażać na dalszy pochód i nowe klęski, zabrali się więc do odwrotu. Europa przerażona na wezwanie cesarza Niemieckiego zaczęła gromadzić wojska, a papież Innocenty IV wysłał w r. 1245 do Hana tatarskiego w poselstwie Ascelina, i powtórnie w następnym roku dwóch franciszkanów polaków: Jana przezwanego Plano Carpino i Benedykta. Tę to podróż dwaj ci zakonnicy opisali, którą późniéj Krzysztof Kolumb przeczytawszy, powziął wiadomość o ob-

---

1) *Zenon Fisz*, znany z wyższego talentu pisarz, niedawno zmarły, będąc rodem z krainy stepowéj, przybrał pseudonym *Padalicy*, dla tego że był samouczkiem, bez zupełnego wychowania szkolnego, własną tylko pracą wyrobiwszy sobie tak piękne stanowisko i imię w literaturze naszéj. Gdym go pytał o powód przybrania takiego pseudonymu, odpowiedział mi z prostotą: „U nas na ukrainie, *padalicą* zowie się zboże, które wyrasta nie raz bujnie i plon daje obfity z ziarn wypadłych dojrzałego zboża. I ja takiém ziarnkiem jestem; czy Bóg da, że plon z niego będzie, czas to przyszły pokaże.“

2) Bylica, w dawnych przedchrześciańskich wiekach, była *świętem* zielem, i dotąd lud nasz zachował z prastarych wieków, to o niéj wyobrażenie. Przy powszechnym obchodzie *Sobótek*, a jak nazywają w Rosi południowéj *Kupały*, dziewczęta które zataczają koło przy ognisku, a tańcem i pieśnią obchodziły ten obrzęd miały wieńce z bylicy, i przepaski z niéj przez ramiona i biodra. Jan Kochanowski, gdy w swym *Czarnolesiu* obchodził *Sobótkę*, i na jéj cześć poświęcił piękny poemat liryczny pod napisem tegoż obchodu, wspomina o wieńcach *bylicy* i przepaskach, w które były przystrojone krasne dziewoje, tańczące parami i przyśpiewujące przy wtórze dudarzy.

1) Mamy tu na myśli ustęp z *Krain stepowych*, z przerażającą prawdą malujący przy puszczeniu lodów wylew Dniestru, i ratunek sędziwego weterana i jego rodziny, zagrożonego niechybną śmiercią wśród rozhukanego żywiołu.

szerném państwie wielkiego hana, do którego od zachodu chcąc się dostać morzem, odkrył Amerykę. Jan de Plano Carpino był towarzyszem Ś-go Franciszka, potem pierwszym przeorem w Saksonji i prowincjałem niemieckim, głównie zaprowadzającym zakony franciszkanów w Czechach, Węgrzech, Norwegji i Danji.

Dalekie strony zwiedzane przez tych dwóch wysłanników papiezkich, zupełnie wówczas nieznane były całéj Europie. Opowiadano o nich najdziwaczniejsze rzeczy, które potwierdzały napady mongołów pełne grozy i okrucieństwa, wdzierających się już w sam środek Europy. Odwaga więc podróżników natchniona wiernością swojm obowiązkom, była prawdziwie zdumiewającą: bo gdy w wojennych wyprawach oręż walczył przeciw orężowi, tu wysłannicy szli ze słowem poselskiém na ustach, i uzbrojeni tylko wiarą, mieli wystąpić do walki z dzikiem barbarzyństwem, które jedynie siła mogła upokorzyć. Opis téj podróży bardzo ciekawy, jako starożytną pamiątkę przeszło sześćset lat wieku mającą podajemy.

Na południe Syberji, po nad wielką Bucharją i pustynią Kobi, ciągną się środkiem Azyi, na 360 przeszło mil niezmierne równiny, pod tym samym stopniem szerokości geograficznéj leżące, co piękne błonia Lombardji. Płaszczyzna ta na kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza wyniesiona, stoi wyżéj od wszystkich alpejskich wsi w Europie, tak iż tylko na północno zachodniéj stronie wznoszą się nad nią niebotyczne szczyty Ałtajskie. Z innych zaś stron wstępuje się na nią przez jary, wąwozy, obok bystrych potoków i skał wiszących, ale wyszedłszy na wierzch, nagle wszelka rozmaitość i piękność ustaje. Jak tylko daleko oko zasięga, ciągnie się nudéj jednostajności step, podobny do piaszczystego morza, bez żadnego drzewa lub krzaku; nic tu oka ludzkiego nie wabi i nie zwróci uwagi, bo nawet i mieszkań nie widać. Przez dwa miesiące słońce w dzień doskwiera, a w nocy przejmujące czuć się daje zimno; przez większą zaś część roku dmą nieustannie wiatry północne, a powietrze tak suche, iż ani śnieg, ani deszcz nigdy wtenczas nie pada. Na jałowém polu ledwie bydło lichą znajduje strawę. Taki jest kraj w którem się wylęgło szpetne plemię mongołów.

Z wielkiego nad miarę tułowia wychodzą krótkie, cienkie i krzywe nogi. Z bladéj twarzy, występują grube wargi i policzki ostrokościste, nos szeroki i spłaszczony, oczy małe, zapadłe, powieki ukośne, broda niezarosła, a z ogolonéj głowy tylko splot włosów za uchem się wije. Mongołowie u nas zwykle tatarami zwani, zawsze się uwijali na koniach chudych, brzydkich, lecz rączych i wytrwałych; mieli namioty z pilśni, które żeby nie przemokły owczém mlékiem polewali, a zwykle we włóczęgach swych koczowniczych, na skrzypiących wozach o dwóch kołach prowadzili cały swój dobytek. Jedli koty, psy, szczury, myszy, i inne obrzydliwości; woleli jednakże mięso końskie. Pijali krew zabitych zwierząt, a kumys, napój z kobylego mleka, stanowił wielki dla nich przysmak, którym raczono się przy wszystkich uroczystościach. Znali chleb, a potem i wino pić się nauczyli. Głód i pragnienie, upał i mrozy, z największą znosili obojętnością. Zręczni łucznicy, używali też dzidy i mieczów. Z twardéj skóry robili pancerze, ale mimo tego uciekać z bojowiska nie było u nich rzeczą godną nagany.

Wódz który mongołów z tych nagich i jałowych stepów wyprowadził, nazywał się Temudżyn, syn Jem-Hana wodza wielu mongolskich pokoleń. Urodził się w środku dwunastego wieku, we dwa lata po wstąpieniu na tron cesarski Fryderyka Rudobrodego.

Gdy po śmierci Jem-hana, mongołowie wypowiedzieli mu posłuszeństwo, uciekł do Ung-hana wodza Keraitów, i wkrótce do takiéj na dworze jego przyszedł wziętości, iż mu córka tego hana Ujsulugina rękę oddała. Pokonał potem nieprzyjaciół, którzy na życie jego czyhali, r. 1193 znakomitszych jeńców w siedemdziesięciu kotłach ugotować kazał, i tym czynem srogości rozpoczął wielki zawód, który tylu klęsk, łez i przelewu krwi w całéj Azji i połowie Europy stał się przyczyną. W ciągu dziesięciu lat następnych podbił szeroko koczujące hordy mongolskie, a roku 1202, kiedy frankowie rozpoczęli krucjatę przeciw Konstantynopolowi, zwyciężył dobroczyńcę swego Ung-hana.

W roku 1206. zwołał wielki zjazd w swojéj stolicy Karakorum, przy zrzódłach rzeki Anon. Tam chodża to jest czarnoksiężnik, do tego od Temudżyna namówiony, oznajmił mongołom, iż miał widzenie, jako wielki Bóg Niebios, na płomienistym siedzący tronie, otoczony duchami, sądził narody ziemskie i wydał wyrok, aby Temudżyn był hanem całego świata, Dżyngis albo Gengis-hanem. Mongołowie podniosłszy ręce przysięgli mu posłuszeństwo, i ten z całą tłuszczą idąc biegiem rzek i dolin, opanował w rok 1215. Pekin i obalił owoczesną dynastję chińską.

Potem mongołowie zwróciwszy ku południowo-zachodniéj stronie, wtargnęli do państwa Chowaresmów, które teraz stało na szczycie wielkości i potęgi. Mahmud panował od kaspijskiego morza do Indji, nad krajem tak wielkim jak połowa Europy, a wszyscy książęta zachodniéj Azji drżeli przed jego potęgą.

Kalif Nassir naciśniony od chowaresmów, wezwał był na pomoc mongołów. Dżyngiskan mszcząc się za pomordowanych mongolskich kupców w mieście Otrar, wtargnął do państwa Mahmuda w roku 1218, wszystko ogniem i mieczem pustosząc.

W Bocharze stolicy nauk, postawiono konie w bibliotece, zniszczono księgi których mongołowie jeszcze w życiu swojem nie widzieli, i miasto w perzynę obrócono. W Samarkandzie trzydzieści tysięcy mieszkańców w pień wycięto, a drugie tyle zabrano w jassyr. Tegoż losu doznał Balk i Nisapur; mury, wieże, karawanseraje i meczety zrównano z ziemią.

Wtem umarł Dżyngiskan dnia 19 Sierpnia 1227 roku, mając lat siedmdziesiąt trzy. W Europie głuche tylko wieści o jego krwawych wyprawach chodziły. Dopiero synowie jego wtargnęli do Europy, a naprzód na Połowcach krwawy oręż swój stępili. Pierwszy Pan na Połowcach nazwiskiem Kosian, teść Mścisława księcia Halickiego, uciekając przed mongołami, przyniósł na Ruś straszliwą wieść o zbliżaniu się tychże.

Książęta ruscy, za przewodem Mścisława Halickiego, złączyli się z Połowcami, których han nazwiskiem Basty, przyjął wiarę chrześcijańską i wyruszyli nad rzekę Kalkę, w dzisiejszéj gubernji Ekaterynosławskiéj. Tam gdy przestraszeni połowcy, w zapamiętałéj ucieczce połamali szyki rusinów, tatarzy wielką w nich sprawili klęskę. Sześciu książąt i dziesięć tysięcy kijowianów poległo,—tatarzy ścigali uciekających aż do Dniepru i potem na wschód do Wielkiéj Bucharji wrócili. To się stało w r. 1224, na trzy lata przed śmiercią Dżyngiskana. W następnych latach mongołowie wojnami w Azji byli zajęci; lecz od roko 1236 do 1240 Batukan wnuk Dżyngiskana zawojował Moskwę, Riazań, Włodzimierz nad Klazmą i Kijów. Wysyłani ze złotéj hordy Baskaki, wybierali pobory przez lat 220, a książęta ruscy musieli jeździć do hordy, gdzie ich czekała śmierć lub jarlik czyli nominacja na księstwo.

W roku 1240 Batu-han ze zdobyczami swemi doszedłszy aż do Dniepru, przedsięwziął wyprawę na Europę, która jak powiedzieliśmy powstrzymaną została krwawą bitwą pod Lignicą. W roku 1246 wysłannicy papiezcy ruszyli w drogę, pełną trudu i niebezpieczeństwa.

My, powiadają podróżnicy, mając z rozkazu papieża udać się do narodów wschodnich, postanowiliśmy naprzód iść do Tatarów, bo się nam zdało, iż od nich najbliższe niebezpieczeństwo kościołowi Bożemu zagraża. Tak więc idąc, przyszliśmy do króla czeskiego (Wacława I.) który nam poradził, aby na Polskę i Ruś drogę obrócić.

Dawszy listy i przewodników, dworom i miastom kazał nas w drodze opatrywać, póki nie zajdziem do Szląskiego Bolesława, łysego jego siostrzana, księcia (to był Bolesław Łysy) na Lignicy, dla okrutnych obyczajów zwanego Rogatka. Ten podobnież nas wspierał, pókiśmy nie przybyli do Konrada księcia Łęczyckiego, do którego, z Bozkiego zrządzenia przybył książe ruski Wasylko brat Daniela księcia Włodzimierskiego i najwyższego księcia Rusi. Od tegośmy się lepiéj o tatarach wywiedzieć mogli, bo był do nich wyprawił posłów, którzy teraz właśnie wracali. Dowiedziawszy się że nam wypadnie im jakie dary złożyć, futro bobrowe i innych zwierząt kupić sobie kazaliśmy za ofiary zebrane w drodze przez pobożnych. Gdy się o tem książę Konrad i księżna Święta Kunegunda córka Beli IV króla Węgierskiego, a żona Bolesława Wstydliwego dowiedzieli, biskup tameczny i niektórzy z rycerstwa wiele nam takich futer nadawali. Nakoniec książe Wasylko, na usilną za nami prośbą książęcia Konrada, biskupów i baronów, wziął nas z sobą do swojéj ziemi dla dłuższego odpoczynku. Poczem posłał nas z jednym służącym do Kijowa stolicy Rusi.

Jechaliśmy z wielkiem niebezpieczeństwem życia dla litwinów, którzy często najeżdżali ziemie ruskie, a najczęściéj snuli się po tych miejscach, któremi nam przejeżdżać przyszło. Przydany sługa, czynił nam bezpieczeństwo od rusinów, których wreszcie tatarzy po większéj części albo wysiekli, albo w jassyr zabrali. Potem śmiertelnie zachorowaliśmy, wszelako po śniegu saniami, w czasie wielkich mrozów, daléj wieść się kazaliśmy.

Przybywszy do Kijowa, naradzaliśmy się względem dalszéj podróży z pułkownikiem i inną tameczną szlachtą. Ci nam powiedzieli, iż jeżeli temi samemi końmi, pojedziemy do tatarów, pewnie pozdychają, gdyż w wielkich śniegach jakie spadły, nie będą umiały sobie odgrzebywać trawy z pod śniegu jak konie tatarskie, a innéj strawy dla nich tam nie znajdzie, gdyż tatarzy nie mają ani siana, ani słomy. Postanowiliśmy więc nasze konie zostawić, przydawszy dwóch chłopaków do ich strzeżenia. Musieliśmy przytem rządcę ująć darami, aby nam dostarczył koni i załogi.

Nazajutrz po święcie Oczyszczenia wyjechawszy, przybyliśmy do miasta, które już należało do samych tatarów. Starszy dał nam tu koni i załogę też do innego miejsca, gdzie był starszym bardzo zły człowiek, ten jednakże wziąwszy od nas dary jakie sam chciał, zaprowadził do pierwszych straży tatarskich.

Gdy więc w tydzień po Popielcu przy zachodzie słońca, na nocleg stanęliśmy, wysforowali się ku-

nam uzbrojeni tatarzy zapytując co byliśmy za jedni?

Gdyśmy odpowiedzieli, że jesteśmy posłami papieża, wziąwszy od nas trochę jadła, niezabawiając się, odjechali. Nazajutrz gdyśmy cokolwiek ujechali, zabiegła nam drogę starszyzna, tych co stali na straży, zapytując po co do nich jedziemy? Odpowiedzieliśmy, iż jesteśmy posłami papieża, który jest Ojcem i panem wszystkich chrześcian, dla tego zaś nas do króla i wszystkich książąt tatarskich posyła, bo chciałby, ażeby wszyscy chrześcianie byli przyjaciołmi tatarów i dzierżyli z nimi pokój. Żąda nadto, aby byli wielkiemi u Boga, i dla tego napomina ich już przez nas, już w swojem piśmie, aby zostali chrześcianami, i wiarę Pana naszego Jezusa Chrystusa przyjęli, bo inaczéj nie dostąpią zbawienia. Pisze daléj, iż dziwi go niezmiernie tak sroga rzeź ludzi chrześciańskich, a mianowicie Rusinów, Węgrów, Morawów, Polaków sprawiona przez Tatarów, gdy ci ludzie niczém ich nie obrazili, ani obrazić chcieli. A gdy Bóg niezmiernie oto jest zagniewany, napomina ich, aby nadal tego się strzegli, a za popełnione krzywdy pokutę czynili. Prosi oraz aby mu nato odpisali, i jakie są ich dalsze zamiary donieśli. Co od nas wysłuchawszy i wyrozumiawszy tatarzy, odpowiedzieli: iż dadzą nam koni, aż do księcia Kuremzy głównego Naczelnika ordy. Poczem, domagali się od nas darów, zabierali co chcieli i razem z przewodnikami wyruszyliśmy do Kuremzy. Oni jednakże na rączych koniach wyprawiali posłańca do księcia Kuremzy, donosząc cośmy im powiedzieli. Jest on bowiem wodzem tatarów postawionych na straży przeciw wszystkim narodom Europy zachodniéj, aby prędko i niespodzianie ich nie zjechali. Powiadają, iż tenże ma sześćdziesiąt tysięcy pod swemi rozkazami.

Gdyśmy więc przybyli do jego dworu, kazał nam dać gospodę i wysłał do nas swoich urzędników, którzyby nas wyrozumieli, z czem mu się pokłonimy, to jest jakie mu przy powitaniu złożymy dary? Odpowiedzieliśmy im, że papież nie przysyłał żadnych darów, bo nie był pewny, że zdołamy zajść do nich, dla dróg bardzo niebezpiecznych jakie mieliśmy przebywać. Wszelako co z łaski Boga mamy na nasze życie, tem uczcimy go wedle przemożenia. Wziąwszy dary, zaprowadzili nas do jego ordy czyli namiotu; powiedziano zaś nam, abyśmy przed wejściem do mieszkania, lewem kolanem trzy razy przyklękli, i abyśmy się strzegli stanąć nogą na progu. Wszedłszy musieliśmy na klęczkach powtórzyć to, o czem wyżéj mówiliśmy przed księcią Kuremzą i starszyzną którą na to zwołano. Podaliśmy także list papiezki; lecz tłomacz, któregośmy sobie w Kijowie najęli, nie mógł go przełożyć, a tam nikogo innego co by to mógł uczynić, nie znaleźliśmy. Poczem dano nam konie i trzech tatarów z rozkazem, aby nas prędko zawieziono do księcia Batego. Jest on jeden z możniejszych po cesarzu, któremu wszyscy większe niż innym książętom winni posłuszeństwo. Drugiego więc dnia po pierwszéj Wielko-postnéj niedzieli wyruszyliśmy w drogę, pędząc ile konie wystarczyć mogły, bośmy dostawali świeże konie, trzy, albo cztery razy na dzień. Jechaliśmy od rana do wieczora, a często bardzo i w nocy, jednakże, ledwieśmy tam zdążyli czwartego dnia Wielkiego tygodnia.

Kilka dni jechaliśmy po Dnieprze całkiem zamarzłym, i po lodzie brzegiem morza Greckiego (Czarnego) co bardzo było niebezpieczne; w kilku miejscach podróż po lodzie trwała wiele dni, od brzegów bowiem morze w odległości trzech mil zamarza. Nimeśmy przybyli do Batego, dwóch naszych tatarów wyprzedziło nas dla opowiedzenia słów, któreśmy Kuremzowi mówili.

Przybywszy od granicy ziemi Knmanów do Batego, dano nam dobrą gospodę o milę od niego. Gdy nas miano zaprowadzić do jego dworu, powiedziano nam że pierwéj pomiędzy dwa ognie przejśdź musimy, co my żadną miarą uczynić nie chcieliśmy. Lecz oni nam powiedzieli: Idźcie bezpiecznie, my to dla tego tylko robimy, iż gdybyście co złego panu memu uczynić chcieli, albo jeśli macie przy sobie jaką truciznę, aby ogień wszystko złe pochłonął. Na co my odpowiedzieliśmy, iż to uczynimy, aby odwrócić od nas jakowe podejrzenie. Przybywszy do Ordy, zapytani od namiestnika jego Eldegaj, z czem panu jego pokłonimy się, odpowiedzieliśmy to samo co dawniéj Kuremsie. Oddawszy więc im dary, i przełożywszy powód naszéj podróży, zostaliśmy wprowadzeni do książęcego mieszkania.

Gdyśmy przyklękali, mocno nas ostrzeżono, abyśmy nogą na próg nie stąpali. Wszedłszy na klęczkach, rzecz naszego poselstwa opowiedzieliśmy, potem przynieśliśmy list prosząc, aby do jego przełożenia dano nam tłomaczów, i z nimi im ten list na język ruski, arabski, i tatarski wyłożyli. To tłómaczenie podano Batemu.

Odprowadzono nas potem do naszego mieszkania, lecz żadnéj żywności niedali, tylko raz. to jest pierwszéj nocy po naszym przyjeździe, trochę pszenicy na misie. Ten Baty wspaniały dwór trzyma, ma odźwiernych i innych urzędników, na wzór cesarza, i siedzi na wywyższoném miejscu nakształt tronu, z jedną z żon swoich. Inni zaś jako to, jego bracia i synowie, i inni panowie, siedzą niżéj na ławie pośrodku, a inni znowu za nimi na ziemi. mężczyzni po prawéj, a niewiasty po lewéj ręce. Piękne mają płócienne i dosyć przestrone namioty, niegdyś króla węgierskiego własność. Nikt nie wezwany do namiotu jego wejść nie śmie, choćby był bardzo znakomity i przeważny, chyba że się dowie, iż taka jest Batego wola.

Opowiedzawszy rzecz naszą, siedzieliśmy po lewéj stronie, taki bowiem jest zwyczaj wszystkich posłów tam idących; lecz wracając do cesarza zawsze nas stawiano po prawéj. W domu obok drzwi mieści się stół na którym stawiają napój w złotych i srebrnych naczyniach.

Baty lub inny jaki książę tatarski nigdy nie pije, żeby mu nie śpiewano lub nie przygrywano na cytrze, a gdy jedzie na koniu niosą nad nim baldachim; tak robi i wielu innych książąt tatarskich, a nawet ich żony. Ten Baty dość łaskawie ze swojemi obchodzi się, lecz bardzo go się boją,—na wojnie jest okrutny, niezmiernie przezorny i przebiegły, a do boju dawno zaprawiony.

W Wielką Sobotę przywołano nas do dworu. Wyszedł ku nam wysłannik Batego, powiadając nam jego imieniem, że pojedziemy do cesarza Gażuka: że niektórzy z nas zostaną, dając nam nadzieję, iź wrócić im dozwolą do papieża, któremu i listy nasze zaniosą. Tym więc oddaliśmy nasze listy, w których opisaliśmy co się nam w drodze przytrafiało. Lecz gdy przybyli do Muntija, ten ich aż do naszego powrotu u siebie zatrzymał. My zaś w sam dzień Wielkanocny odbywszy nabożeństwo i trochę przekąsiwszy, z dwoma tatarami. których nam u Kuremzy dodano, obfite łzy wylewając, puściliśmy się w podróż, niewiedząc ażali nie na śmierć nas wiodą. Bardzo osłabieni, zaledwie na koniu mogliśmy się utrzymać; przez cały albowiem post jedliśmy tylko proso z wodą i solą, podobnież i w innych dniach postnych. Prócz tego, przez cały czas do picia nie mieliśmy tylko śnieg w kociołku stopiony. Jechaliśmy więc przez Kumanję (kraj Połowców) kłusując mocno, bośmy na dzień pięć razy albo i więcéj konie odmieniali, wyjąwszy gdyśmy jechali przez stepy; wtenczas dawano nam lepsze i mocniejsze konie, któreby mogły iść ciągle bez wypoczynku. I takeśmy podróżowali od początku Wielkiego postu i przez tydzień po Wielkiéj nocy.

Potem weszliśmy do ziemi Changitów czyli Pieczyngów, (narod turecki) któréj w wielu okolicach bardzo zbywa na wodzie, gdzie też dla jéj niedostatku mało jest bardzo mieszkańców.

(d. c. n.)

Od Redakcji.

Z dniem pierwszym Października kończy się kwartał trzeci; upraszamy przeto o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj za kwartał czwarty, wprost pod adresem w każdym numerze znajdującym się, bo tylko tym jedynie sposobem zwłoki w odbiorze numerów uniknąć można.

W terazniejszym numerze rozpoczynamy opowiadanie pani Pauliny Wilkońskiéj pt. *Ostatnia miłość*, po ukończeniu którego ogłosimy powieść w dwóch tomach J. I. Kraszewskiego, pod tytułem *Wielki nieznajomy, obrazy naszych czasów.*

Upraszamy również o wyraźne wypisywanie adresów, gdyż niektóre z nich są tak nieczytelnie pisane, że ich żadnym sposobem odcyfrować nie możemy. Niektórzy także z szanownych Prenumeratorów pomijają je zupełnie, i nie wymieniwszy ani miejsca zamieszkania, ani ostatniéj stacji pocztowéj, dodają tylko: *adres wiadomy*. Że zaś pod jednem nazwiskiem znajduje się czasami kilku korespondentów, utrudza to więc niezmiernie wyszukanie właściwego interesanta i staje się powodem, mimo naszéj woli, wstrzymania odpowiedzi.

KORESPONDENCJA.

Pani M. Le. Popularna Hygiena dla ludu, kosztuje kop 45. Tłomaczonéj hygieny Reklany niema dotąd jeszcze.

Do N. 37 Ty: Mód dołączone zostaną kroje.

Druk. K. Kowalewskiego (ul Królewska N. 1066k)

Дозволено Цензурою.

Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 37. 1871 r.

PIERWSZA I OSTATNIA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

I.

Wieczór był ciemny i mrzył deszcz drobny a gęsty. Po drodze wiodącéj do Palanic toczyła się zwolna kareta. Dwie latarnie z oddali błyskotne rzucały światełka, jakby dwie pomykające się gwiazdy. Nagle zatrzymała się kareta — i jakiś gwar posłyszano.

— Co to, Andrzeju? cóż to? ozwał się głos niewieści melodyjnie przez spuszczone okno karety,— Andrzeju, co to?

Stary sługa do drzwiczek przystąpił.

— To, ot, jaśnie pani — odrzekł— bryczka jakaś zwaliła się z mostu, konie splątane, a ciemno choć oko wykol...

— Idźcież więc ratować, mój Andrzeju! A czy kto nie ranny?

— Pan jakiś.

— Ratujcie! I sprowadźcie go tutaj.

Podróżna wychyliła się z powozu.

Światło latarni padało na twarz ślicznych rysów, nieco bladą, i dwoje pięknych, ciemnych oczów z brwią wyraziście narysowaną. Głowę jéj i wdzięczny owal oblicza, czarny otaczał baszłyk ze złotym galonem, nader korzystnie i malowniczo przypadający do twarzy.

Po chwili stanął przy drzwiczkach, prowadzony przez Andrzeja, młody, nader przystojny mężczyzna, bladości śmiertelnéj niemal. Andrzéj drzwiczki otworzył.

— Pani wybacz — zagadał nieznajomy.

— Wsiądź pan. Mój Boże!.. Andrzeju, pomóż! wymówiła podróżna pani, podając mu rączkę małą, wązką, w rękawiczce popielatéj.

Andrzej nieznajomego podsadził, który, jakoby wysilony, na siedzenie upadł.

— Pan jesteś ranny? zapytała pani troskliwie.

— Zdaje mi się... odrzekł, żem złamał rękę....

— Och, to okropnie! a pomoc skorą nie będzie. Jestem Krystyna Żalińska z Palanic i pozwól pan, że go zabiorę do siebie.

— Panna Krystyna Żalińska! powtórzył młody z zajęciem. Z nieskończoną wdzięcznością tak szlachetną przyjmuję gościnę — Jestem Zbisław Skaliniecki z Kamionki...

— Pan cierpisz bardzo?

— Nic to, pani — zaciął usta i zadrżał.

— Widać po panu, że cierpisz.

Zbisława przechodziła febra.

— Mateuszu! zastukała panna Krystyna na stangreta w okno od przodu — jedźmy co rychléj!

— Jeszcze chwileczkę, jaśnie pani. Konie odprzęgli dla wydźwignienia bryczki na drogę.

— Pan bardzo cierpisz! zwróciła się znowu Krystyna z współczuciem do towarzysza.

— Chwilowo...— odrzekł, zacinając usta, i zdrową ręką ciemną otulał się burką. Zatrzęsła nim febra. Targnął za miękki wąs ciemno-płowy, i przetarł oczy, jak gdyby chciał się roztrzeźwić.

— Mamy w X. dobrego lekarza, chirurga. Wyślę natychmiast po niego. Lecz zawsze parę godzin upłynie bez ulgi dla pana.

— Dzięki, o dzięki za tyle współczucia! — ujął jéj rękę i poniósł ją do ust.

Andrzéj przystąpił do okna.

— Koń jeden skaleczył się trochę, ale nie szkodliwie zaraportował — furman rozpłatał sobie policzek, ale i to niewiele znaczy, bryczka zaś zdrzugotała się całkiem. Zostawimy ją tu do jutra, a furman z końmi pojedzie za nami.

— A czy mój woźnica niezbyt pokaleczony? zapytał Zbisław z troskliwością.

— Nie panie, nic mu nie będzie.

— To ruszajmyż, mój Andrzeju! wymówiła panna Krystyna znowu, składając dłonie — a pospieszajcie o ile można, byśmy rychléj w domu stanęli. Potrzeba natychmiast po doktora wysłać.

Po chwili toczyła się kareta tak szybko, o ile tego zła droga i noc ciemna dozwolały.

W ładnym, obszernym dworze Palanic błysnęły światła w oknach, gdy kół turkot na dziedzińcu się rozległ. A w oświetlonéj sieni powitała pannę Krystynę niemłoda już pani, przyjemnego wejrzenia...

— Pan Zbisław Skaliniecki,—pani Kunowska, kuzynka moja — przedstawiła pani domu. Mój Andrzeju, natychmiast po doktora, co konie uskoczą!... Salusiu! urządź zaraz pościel i wszelkie wygody w zielonym pokoju — zwróciła się do panny służącéj.

Weszli do salonu, gdzie na kominku żwawy trzaskał ogień, i panna Krystyna opowiedziała krewnéj w słowach niewielu cały smutny wypadek.

— Pójdę sama, by łóżko było jak najwygodniéj usłane, wymówiła pani Kunowska ze współczuciem; herbatę podadzą zaraz.

— Siadaj pan, tutaj! — panna Krystyna ułożyła poduszkę na fotelu.

— Nie mam dość wyrazów wdzięczności—poszepnął Zbisław.

Podano herbatę. Salusia oznajmiła, że łóżko jest w pogotowiu. Pani Kunowska radziła okładania zimną wodą złamanéj ręki, co też uskuteczniono, i obiedwie panie przy cierpiącym czuwały.

Po północy przybył doktór, który szczęśliwym trafem właśnie był w domu, a wtedy dopiero pan ie ustąpiły mu miejsca.

Zbisław do Antoniego.

Palanice 10 Kwietnia 1868

Zdziwisz się co tutaj porabiam, kochany mój Tosiu. Ależ—przypadki chodzą po ludziach — dawne niesie przysłowie,—i mnie też, dola przykra wprawdzie lecz obok tego i błogosławiona, w uroczą i ponad wszystko, już od tygodnia przeszło w miłą rzuciła gościnę.

Rzuciła—i to w noc ciemną, wśród deszczu i błota, z mostku bez poręczy, z bryczką, końmi i wiernym Maciosiem, w parów dosyć głęboki. Złamana ręka i mocno nadwerężony obojczyk, skaleczenie policzka Maciosia, zdarty kawał skóry z gniadego, i potrzaskanie wolanta, były owocem tego niespodziewanego wypadku.

Das ist das Loos des Schönen auf der Erde!

wołam z Szyllerem z westchnieniem, bo ręka boli i całe piersi bolą, a szkoda mi wolanta. Maciosiowi zabliźni się policzek niebawem, i gniady w niczem nie zaszwankuje, a zatem, przy każdem nieszczęściu, zawsze jest jeszcze i szczęście, bo złe mogło było być większem.

Lecąc z mostu, jakby na złamanie karku, przez chwilę w odurzeniu pozostałem. Potem posłyszałem gwar i ocucił mnie ból ręki. Podniesiony zostałem z ziemi.

— A czy pan *zmarnował* się bardzo? pytał głos jakiś przyjazny.

— Nie wiem!.. ręka mnie boli.

— Oprzyj się pan, poprowadzę.

Uderzyły mnie dwa światła wśród ciemni, bo rzeczywiście na świecie było jak w kałamarzu.

— Co to za światła? pytam.

— U karety mojéj pani. Chodź pan, chodź! niby trochę gderając powtórzył poczciwiec.

Weszliśmy na drogę i prowadził mnie ku onym światłom.

Stanęliśmy przy karecie, z któréj okna śliczne niewieście wychylało się oblicze, w zarzuconym malowniczo czarnym baszłyku z galonem. Jasny promień padał na rysy wdzięczne, jakby wyrzeźbione dłonią mistrza, przyblade nieco. Była to istna *madonna*!

„Wsiądź pan! mój Boże!...“ miły głosik zaległ mi w uchu.

Stary sługa drzwiczki otworzył, — i wyciągnęła ku mnie małą, zgrabniutką rączkę. A tymczasem ból dokuczał że aż febra mną zatrzęsła. Ująłem tę rączkę... służący mnie podsadził i zająłem miejsce obok podróżnéj pani.

Jestem w domu panny Krystyny Żalińskiéj w Palanicach, najszlachetniejszéj z istot szlachetnych znanéj mi oddawna z nazwiska... jako wzór cnoty i najpiękniejszych przymiotów. Znalazłem tutapieczołowitość rodzicielską, i mimo cierpień ja, kie mi sprawia złamana ręka i obojczyk, Eden prawdziwy. Panna Krystyna ubóstwionym stała się dla mnie aniołem, a jéj krewna pani Kunowska, daje mi macierzyńskiéj troskliwości dowody.

Doktora mam wybornego, który zarazem najpoczciwszym jest człowiekiem i towarzyszem arcy-miłym.

Palanice nadto są śliczne. Wiosna rozpostarła szmaragdowe kobierce i kwieciem uwieńczyła drzewa. Ładny dworzec a raczéj pałacyk, jest jakoby w bukiet rzucony. Dotąd widzę to wszystko jedynie przez okno, jak gdybym na piękne patrzył panorama.

Panie moje czytają mi regularnie gazety, a niekiedy i coś z beletrystyki, bo mnie samemu dotąd czytać nie wolno. Więcéj wszelako zajmuje nas gawędka.

Ochraniać muszę się bardzo, i nadto ciągłą mi zalecają ostrożność.

Wierzaj mi wszelako, kochany Tosiu, że te wszystkie dolegliwości chętnie przyjmuję, skoro tyle dają mi przyjemności i szczęścia. I wolę cierpienia te po nad zdrowie, gdyż tamte do Palanic mnie zawiodły.

Zapewne tu jeszcze pare zostanę tygodni. A za-

tem, kochany, zajrzyj tam do mojéj Kamionki i donieś, czy wszystko w porządku.

Bóg z tobą, przyjacielu!

Zbisław.

Antoni do Zbisława

Łączna—Wola 22 Kwietnia 1868.

Wieść o twoim wypadku doszła mnie na godzin kilka przed odbiorem listu, i zaniepokoiłem się szczerze. Pismo twoje wszelako obawę rozwiało, i dzięki Bogu że wszystko skończyło się dość szczęśliwie.

W Kamionce byłem i zastałem wszystko w porządku, jak gdyby ją pańskie pilnowało oko.

Widzę, Zbisiu kochany, że ciebie panna Krystyna oczarowała. Słynna to ze zacności i szlachetności osoba, z rozumu i wykształcenia wyższego, a dawniéj nawet i z piękności. Mówię *dawniéj*, niestety! bo liczy już dzisiaj lat trzydzieści-sześć. Była narzeczoną, mając lat ośmnaście Adamowi Korniewskiemu, jakiemuś kuzynowi matki mojéj. Korniewski umarł nagle, a boleść jéj była straszną, bo kochała go bardzo. Piękna, pełna zalet, a dodajmy i posażna, liczne też jéj trafiały się partje. Nie chciała wszelako pójść za mąż, wierna swojéj pierwszéj miłości. Przez lat kilka mało pokazywała się w świecie, oddana jedynie-li szlachetnym uczynkom i umysłowym zajęciom.

Te szczegóły są mi znane z nader pewnego źródła, Pielęgnuj się i powracaj do nas co rychléj.

Antoni.

II.

Zbisław do Antoniego

Palanice 18 Maja 1868.

Czyliż nie umyślnie, jakby na przestrogę, o trzydziestusześciu latach panny Krystyny wspomniałeś?

Balzac gdzieś wyrzekł: że każda kobieta ma tyle lat wieku, ile ich powierzchownie okazuje — a zatem panna Krystyna ma lat dwadzieścia.

Nie znałem, nie widziałem jeszcze podobnéj kobiety, któraby na mnie tyle wywierała uroku, nawet i pod względem zewnętrznych powabów. Czaruje mnie jéj oko, jéj uśmiech, wdzięk nieokreślony każdego poruszenia, głos melodyjny i wyraz anielski, który z jéj każdego promienieje rysu. A cóż mówić dopiero o jéj pięknéj duszy, podniosłym umyśle i sercu wielkiem! Słucham z zachwytem dźwięku jéj głosu i słów, które z ust jéj płyną z namaszczeniem.

Przyjacielu! u stóp jéj składam serce moje i będę po nad wszelkie wyrażenie szczęśliwym, jeżeli je przyjmie. Jest to pierwsza miłość i będzie ostatnią także!

Do dzisiaj, chyba jedynie-li przemówieniem duszy w źrenicy mojéj, bezwiednie niemal, zdradziłem w obec niéj czem ona jest dla mnie. Brak mi całkiem odwagi i jestem nieśmiały jak szkolnik. Trwożę się by jéj nie narazić się czemkolwiek.

Obojczyk boli mnie jeszcze, cierpię i na rękę, ale przychodzę widocznie do siebie. Jutro wyjdę po raz pierwszy na świeże powietrze. A niby, radbym moje rany otworzyć na nowo, by tylko dłużéj w Palanicach pozostać...

Nazwiéj to szałem, czy jak tam podoba się tobie. Już naprzód przebaczam wszystko, bo ty jéj nie znasz, bo jéj nie widziałeś nigdy. Powrócę szczęśliwy albo zrozpaczony na życie całe.

Do zobaczenia!

Zbisław.

Pan Antoni pokręcił głową nad tym listem. Pomruczał coś, zapalił cygaro, kazał zaprządz i pojechał w sąsiedztwo do siostry Zbisława, pani Leokadji Dolewskiéj.

— Cóż tam Zbiś? jakże tam? kiedyż powróci? zapytała go skwapliwie.

Antoni list powyższy podał jéj do przeczytania.

— Zbisław oszalał! zwarjował zawołała! on ma lat dwadzieścia cztery, a ona blisko czterdzieści!

— Zbisław ma lat dwadzieściapięć, odparł pan Antoni, a panna Krystyna niespełna trzydzieści sześć.

— Przynajmniéj trzydzieściośm!

— Nie, nie! I piękna jeszcze.

— Stara panna!

— Szlachetna, wykształcona, zacna, miła... Jest to pierwsza miłość Zbisława!

— Ależ to przecie nie żona dla chłopca tak młodego!

— Majętna! wtrącił Antoni z przyciskiem—Palanice warte pół miljona, bez grosza długu, a przytem są i zasoby....

Pani Leokadja spojrzała się szeroko rozwartemi oczami i umilkła: czoło jéj odbiło myśl, w któréj jakoby rzeźbą wypukłą, sterczały wyraziście liczby: 500,000.

— Czyni ona bardzo wiele dobrego... ponosiła znaczne ofiary z gorącem sercem i poświęceniem, ale zawsze piękny ma majątek.

— Więc Palanice tyle są warte? zapytała pani Leokadja, znowu nieco przycichym głosem.

— Niewątpliwie.

Pani Leokadja wsparła dłonią czoło — i podumała.

— I ja nie byłem i nie jestem za tem, ciągnął pan Antoni daléj, ażeby Zbisław z niemłodą żenił się kobietą. Napisałem do niego, wymieniając mu wiek panny, i otóż, co mi odpowiedział. To więc nie ma już o czem mówić... Jest tylko jeszcze ta kwestja: czyli panna Żalińska zechce pójść za Zbisia.

— Cóż znowu? Zbiś tak przystojny, ładny, miły...

— Ale panna Żalińska różne dawniéj miała partje, i za mąż pójść nie chciała.

— Och, ależ Zbiś podobać się musi!

— Może i ona zwróci uwagę na tę lat różnicę.

— Więc jako partja, bezwzględnie na wiek, panna Żalińska *dobrą* jest partją?

— Bardzo dobrą!

— To ileż może mieć majątku?

— Na Palanicach, jak powiedziałem, będzie czystych 500,000. A ma jeszcze i kapitały.

— Hm!... to niechże się żeni! — pani Leokadja podumała.

Nadszedł mąż jéj. Przeczytali mu list Zbisława. Antoni przytoczył swoje *pro* i *contra*, a Dolewski posłuchawszy wszystkiego w milczeniu, wyrzekł:

— To i co, że jest starszą od niego o lat kilkanaście?..

— O dziesięć tylko wtrąciła zmiękczona pani Leokadja.

— Ale chociażby i więcéj! Skoro mu się podoba, skoro się zakochał, to i mniejsza o lata. Palanice to rzecz najważniejsza! zaśmiał się wesoło — *grunt złotodajny*! Będzie miał chleb, a przy chlebie wygody wszelkie i przyjemności życia, to i czegoż życzyć mu więcéj? Może nawet i do bardzo znacznego dojść majątku. Gdybyć to przyniewalał się do niéj, to byłoby co innego, ale zakochał się a nawet i rozszalał...

— To też właśnie, aby nie był szał tylko! zawołała pani Leokadja.

— Panna Żalińska jak słyszę, jest osobą wykształconą i rozumną.

— Bardzo wykształconą i bardzo rozumną, wtrącił pan Antoni — z najpiękniejszym charakterem.

— No, to i czegóż więcéj potrzeba? Byleby tylko jeszcze harbuza nie dostał.

— Otóżto właśnie! Byłaby to fatalność! I zaszkodziłaby mu w innéj konkurencji.

— Coby tam zaszkodzić miało! pocieszał znowu pan Antoni; odmówienie panny Żalińskiéj cie nia niekorzystnego rzucić nie powinno. Zresztą, czyliż zaraz każdy kawaler ma każdéj na męża spodobać się pannie? Fałszywe to widzenie rzeczy.

— Ale tu stara panna! Powiedzą, że się starał o Palanice a nie o pannę Żalińską, liczącą lat trzydzieści sześć.

— Ktoby tam zważał na to co gadają!

— To więc przynajmniéj, panie Antoni, zastrzegam sobie i proszę, by nikt o téj konkurencji Zbisia i słówka nie wiedział. Stanie się, to dobrze, a nie, to przynajmniéj gadania nie będzie.

— Bardzo zgadzam się na to.

— Niechaj Bóg da! ozwał się znowu pan Dolewski, by Zbisław dostał zacną pannę Żalińską, a z nią i piękne Palanice.

Pani Leokadja niby jeszcze pokręciła głową, a potem znowu podumała trochę.

Po odjeździe wszelako pana Antoniego, napisała do brata, i list swój przepełniła kadzidłami dla panny Żalińskiéj. Rychło bowiem pogodziła się z tą myślą, że trzydziesto-sześcio-letnia panna wniosłaby braciszkowi majątek piękny.

III.

Dzień majowy był prześliczny. Rozkwitło wszystko, woniało, śpiewało, tysiące rozbudziło się uroków. Krystyna stała przy oknie od ogrodu, przyglądając się gumowemu drzewu, które także jakby pod trapikiem, młodziutkie puszczało listki.

W tem posłyszała głosy: spojrzała w okno, doktór młodego pacjenta na świeże wyprowadził powietrze. Niby zlekka pobladła i dłonią przycisnęła serce, jak gdyby chciała jego silniejsze uderzenia powstrzymać. Postała tak chwilę, potem poprawiła fanszoniku z czarnéj koronki na włosach, podjęła lilla parasolkę i wyszła. Lekkie zapłonienie niebawem na jéj powróciło lica, a na ustach wdzięczny osiadł uśmiech. Szła zwolna ulicą, którą poszli panowie. Zwir zaskrzypiał pod jéj drobną stopą, czarną suknię nieuważnie wlokła. Nagle odwrócił się Zbisław, może instynktem serca wiedziony.

— Ah, panna Krystyna! poszepnął — przystanął i pokraśniał.

Panowie zawrócili i szli naprzeciw niéj.

— Witam pod jasnem niebem — wymówiła z rozjaśnionym wyrazem, podając rękę *rekonwalescentowi*, i szczerze się cieszę.

Zbisław z wdzięcznem uczuciem rączkę do ust przycisnął.

— To pani łaskawéj jest dzieło, i kochanego doktora

— Chwała Bogu, że jest dobrze! może pójdziemy pod lipy.

I poszli pospołu.

— Jakże tu pięknie! zawołał Zbisław, obejmując wzrokiem rozłożony przed nim krajobraz: ogród, łąka, pola dalekie, żal będzie choroby.. gdy przyjdzie

to Eldorado pożegnać... ze smętnym dodał wyrazem.

Krystyna przymuszonym odpowiedziała uśmiechem.

— Jeszcze tego zrobić niewolno! wtrącił doktor.

— Nie puścimy tak prędko pana — dodała pani domu — opieka doktora jest jeszcze potrzebną bardzo... jesteś pan osłabiony...

Zbisław stłumił westchnienie.

— O, mój Boże! klękam na wspomnienie gościnności w Palanicach — przyciszonym wymówił głosem — a nie chciałbym jéj nadużyć...

— Cóż znowu?! przerwała Krystyna, pan nam tak miłym, tak bardzo miłym jesteś gościem. Chyba że z nami już nudzić się poczynasz...

— Nudzić?!... O mój Boże!... — usta jego zadrgnęły, i umilkł.

Po licu Krystyny nieokreślony przemknął wyraz, ale zasłoniła się parasolką.

— A zatem, jeżeli się pan nie nudzisz, wymówiła wesoło, to nie wybieraj się od nas, dopóki zupełnie... najzupełniéj do zdrowia i do sił nie przyjdziesz.

Zbisław w milczeniu znowu pocałował jéj rękę. Doktor o czemś innem zagadał, a potem zwolna zawrócili do dworu.

O szaréj godzinie siedziała Krystyna w swoim buduarze: okno wychodziło na jezioro rozlane u stóp ogrodu i pola z ciemną krawędzią lasu. Z kościołka na wzgórku dzwon wieczorny uroczystym płynął dźwiękiem. Złożyła dłonie i pochyliła czoło.

Potem głębokim, zadumanym wzrokiem patrzyła w przestrzeń sinawą, a na jéj przybladem licu odbłysk różnych przemykał myśli i wrażeń, jakby chmurki po błękicie, to białawe, ciemniejsze i znowu promieniem ozłocone, albo zróżowione zorzą.

Dumała, myśl ku młodym sięgała latom, zamajaczyła przed jéj duszą postać tyle niegdyś kochana, narzeczonego, wybrańca... i załawiły się dziewicy-wdowy źrenice. Zacisnęła dłonią oczy, łzy polały się obficiéj... Ale nagle, bezwiednie, ta postać żałobna przygnieciona pamięcią, inne przybrała kształty, młode także, przyjemne, z uśmiechem pełnym wdzięku i dobroci, z mówiącem głębokiem spojrzeniem, z ręką na temblaku... i obiedwiema dłońmi zakryła lica,—ale już nie płakała... To spojrzenie coraz większem do niéj mówiło życiem — uczuciem. Słyszała niby dźwięk głosu miłego, z dziwnem niekiedy zadrżeniem, wyrazy spamiętane... i serce jéj uderzało jak kiedyś... jak niedyś... przed laty szenastu! Była młodą w téj chwili, w sercu nowa zakwitła wiosna, lecz nie śmiała wyznać nawet i przed samą sobą... że kocha.

Wiedziała, że jest uwielbianą, i poiła się tą słodką, odurzającą trucizną... bo przeczuwała, że jest kochaną... Porwała się nagle, przebiegła pokój, odpędzała myśli natrętne, odurzające, pełne zatrutego upojenia. Wyszła, pobiegła w głąb ogrodu, jak gdyby ją kto gonił. Od pola płynęły tony legawki, szara ptaszyna w oddal tkliwe wysyłała pienia. Tęskno, rzewno było w sercu i umyśle Krystyny. Przechadzała się długo, orzeźwiała chłodem wieczornym, i napozór spokojna zupełnie do salonu wróciła.

Przy lampie, jasne roznoszącéj światło, Zbisław dzienniki przeglądał. Pani Kunowska krzątała się w drugim pokoju przy stole herbacianym.

Młody powstał z uszanowaniem, gdy weszła panna Krystyna.

— Och, po cóż to ceremonije? wymówiła dziwnie miękim głosem, i naprzeciw niego usiadła.

Zbisław w milczeniu spojrzał na nią i oczów oderwać nie mógł. Była śliczną, prześliczną w téj chwili: młodą, dziewiczą ze świeżą krasą na licu, wywołaną doznanem wzruszeniem, z brylantowym blaskiem oczów łezką połyskujących jeszcze. Krystyna była w téj chwili tak piękną — jak gdyby dopiero dwudziestą liczyła wiosnę.

Lokaj poprosił na herbatę. Pani domu wzięła gościa pod rękę i do drugiego przeszli pokoju. Nadszedł stary rządca, zwykle na herbatę zapraszany. Rozmowa o gospodarce, o roli, wszystko na tór zwykły powiodła, a gdy odszedł raźno znowu na inne przeszła pole. Stała się ożywioną, roznieconą dziwnie i pani Kunowska po razy parę przypominać musiała, że już czas wielki na spoczynek, zwłaszcza też dla pana Zbisława.

Spoczynek jego był dzisiaj wszelako mniéj spokojnym jak zwykle: widział ciągle te przecudne z jasnym blaskiem oczy, to wdzięczne lice i czarujący anielski uśmiech.

— Ta albo żadna! wyrzekł sobie w duszy i lepiéj rychléj wyrok posłyszeć, aniżeli w niepewności pozostać.

Zdala bo z drugiéj strony dworu powiała ku niemu wśród ciszy nocnéj *pianissimo*, jakaś śpiewna nuta.

— I ona czuwa także! usiadł na posłaniu, słuchał i duszą chwytał ton każdy.

Wreszcie fortepian umilkł i zupełna cisza wiejskie zaległa przestrzenie.

Zbisław do Antoniego.

Palanice 18 Maja 1868.

Ta albo żadna, przyjacielu serdeczny! Uwielbiam, ubóstwiam, po nad wszelki wyraz.

Przedwczoraj wyszedłem po raz pierwszy do ogrodu z doktorem, a wczoraj i dziś, z polecenia jego, przejechałem się z paniami. Panna Krystyna pokazała mi szkółkę wiejską, nad którą czuwa jakby matka rodzona tych wszystkich dziatek. Nauka idzie dobrze, moralność jest wzorowa. Dziewczęta uczą się nadto szycia i nieco krawieczyzny. Dzieciny ubrane czysto i świeżo, mają nawet pewną ogładę, i nie zalękną się gdy je zapytasz o co.

W tym samym domu jest i ochronka. W szpitalu urządziła wielką izbę dla chorych, dwie stare babinki mają tamże przytułek i pańska żywi je kuchnia. Dowiedziałem się także, żem tutaj już niejednego chorego miał poprzednika. Ostatnim był młody filolog, któremu mleczna kuracja w Palanicach, zdrowie i nadwątlone przywróciła siły.

Z dniem każdym nowe cnoty mojego odkrywam anioła.

Leokadja napisała do mnie z uwielbieniem dla panny Krystyny. Znać wiele wie o niéj i pragnęłaby takiéj bratowéj.

Przeczytałem głośno ustęp z tego listu, i z nieokreśloną radością serca widziałem, że mile przyjęty został.

Niechaj Bóg dobry kochanéj zapłaci siostrzyczce!

Jestem z dniem każdym zdrowszy i silniejszy — niestety!... bo będzie trzeba nie zadługo, za dni kilkanaście najdaléj — Eden Palanicki pożegnać.

Zbisław.

IV.

Zachodzące słońce pozłociło drzew wierzchołki. Półkole niebios cudne posiały barwy. Uciszone powietrze tchnęło wonią i śpiewem.

Zbisław dumał przy oknie w pokoju swoim.

Pomiędzy klombami pomykała zwolna, wysmukła postać w lilla sukni muślinowéj i w okrągłym kapeluszu słomkowym. Młody śledził każde jéj poruszenie. Pochyliła się tu nad kwiatkiem, tam nad krzewem i wreszcie skierowała się ku końcowi ogrodu. Było tam ulubione miejsce panny Krystyny, pod starym dębem, przy którym ławeczkę z białéj brzeziny umieścić kazała. Obok grupa balsamicznych topoli i włoski orzech, woń roznosiły przyjemną. Nieco daléj zwierciedliła się jasna szyba jeziora. Tutaj usiadła, zdjęła kapelusz, wsparła czoło na dłoni i zadumała się. Dziwnie jéj było w myśli i sercu, niby błogo a rzewno.

Po chwili posłyszała szelest zbliżającéj się stopy! Podniosła głowę, spojrzała i zróżowiała nagle: Zbisław nadchodził.

— Pana także cudne wywabiło powietrze — powitała go z uśmiechem. Powstała i podjęła kapelusz, jak gdyby pójść chciała daléj.

— Czyliż pani przeszkodziłem? zapytał niby z oddźwiękiem żalu w głosie.

—Bynajmniéj! dla czegóż pan miałbyś mi przeszkadzać?

— Bo widzę że pani chcesz odejść...

— Lękam się, by panu nie zaszkodził chłód od łąki wiejący...

—Orzeźwi mnie raczéj...ale mógłbym się oddalić.

— Nie, nie, skoro pan sądzisz że nie zaszkodzi. To więc siadajmy na chwilę; usiadła i zostawiła mu miejsce obok siebie.

Usiadł, chwilowe nastąpiło milczenie.

— Przecudownie tu... — poszepnął młody.

— Dla tego też tak lubię to miejsce.

—Zachowam je na zawsze w pamięci... gdy przyjdzie pożegnać... na zawsze — dodał z cicha, i pobladł.

— Dla czegóżby na zawsze? zapytała Krystyna, a lilla muślin zdradzał silniejsze uderzenia serca.

— Muszę rychło pożegnać... a może i nie wrócić więcéj... szepnął daléj drżącemi usty.

— Och, panie Zbisławie!... Krystyna pobladła, a młodemu wydawała się najpiękniejszą w téj chwili, gdyż bladość wywołało wzruszenie.

— Pani! zawołał zakochany, i ujął jéj rękę i niby przykląkł — czytasz w mojem sercu... Kocham!... A jeżeli odepchniesz...

— Krystyna drżała, a walczyła z sobą by spokój okazać.

— Odpychasz mnie pani?... nalegał Zbisław powiedziawszy sobie: To jest chwila stanowcza!

— Nie, nie! zawołała ze ściśnionéj piersi — nie odpycham... ale... odwróć się sam! dodała stłumionym głosem błagalnie.

— Ja mam się odwrócić?!... Nie pojmuję.

— Bo nas wiek dzieli! wyrwała się z jéj piersi z boleścią odpowiedź.

— Och nie! to nic nie znaczy! Dla mnie, pani, ty jedna jesteś na świecie!... Kochasz... cichym wymówił poszeptem, a walczysz z przesądem!

— Z przesądem?

— Z przesądem, pani!... Dla mnie jesteś młodą, uroczą... Och, powiedz, że kochasz!...

Krystyna dłonią zacisnęła zalane łzami oczy.

— Powiedz, pani!... daj szczęście...

— O, panie Zbisławie! myślałam, że mi już niewolno to słowo wymówić...

— Pani moja!... będziesz moją! zawołał Zbisław i przycisnął do ust namiętnie jéj ręce obiedwie.

(d. c. n.)

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Ale pomimo tego wszystkiego, pomimo jego uczciwéj chęci i nieustających grzeczności, wzajemny ich stosunek stawał się coraz obojętniejszym; dobrowolne więzy coraz bardziéj cięży'y Feliksowi, a matka jego i brat stali w obec Georginii w zanadto odrębnym stosunku, aby mogli w szczupłem kółku nowego mieszkania wzbudzić swobodniejsze i serdeczniejsze usposobienie. Pokój —w pewnym względzie przynosił tylko Ryszard, gdy przez całą zimę przychodził co wieczór do niskich izdebek, które tak bardzo upokorzyły dumę Georginii. Nieszczęśliwy właściciel fabryki, odzyskiwał chwilowo siły, patrząc na jego poważną męzką postać, słuchając jego rad i projektów. W jego łagodnych słowach skruszona żona czerpała pociechę i zachętę, aby na nowo szukać drogi do serca swego męża. Malwina tylko, chociaż z trwożliwą tęsknotą oczekiwała każdego wieczoru, aby go zobaczyć, nie umiałaby powiedziedzieć, czy obecność jego sprawiała jéj boleść, czy radość. Miał on wprawdzie dla niéj tysiące słodkich, uprzejmych wyrazów, wprawdzie ręka jego często gładziła jéj włosy, a spojrzenia ojcowskie, spokojne i poważne co chwila zwracało się na nią, ale ręka jego nie drżała już tak jak wówczas, gdy po krótkiem upojeniu dawał jéj znak do odejścia, a spojrzenie zdawało się tylko wyrażać troskę o jéj dolę, którą usiłował osłodzić ile możności.

Tak przeszła zima wśród łez, nadziei i niepewności, wśród skruchy i dobrych postanowień w domku wójta na wsi, wśród pracy i ustawicznego rozdrażnienia w owem pozostałem skrzydle fabryki, które zamieszkiwała Sybilla. Z fabryką łączyły się jedyne szczęśliwe wspomnienia, jéj goryczą przepełnionego serca; fabryka była dumą jéj przeszłości, marzeniem jéj przyszłości, jakkolwiek mało było widoków aby się ziściło, i zawsze stanowczo utrzymywała, że nieszczęście które nawiedziło rodzinę Steinlachów, było dla niéj najokropniejszym ciosem. Z pewnym rodzajem religijnego poszanowania patrzyła na rozwój i wzrost fabryki, a gdy ją pożar pochłonął, pogrzebała pod jéj gruzami nietylko swoje dawne pretensje, których dotąd nie zapomniała, lecz także niezmienne postanowienie obsypania Ryszarda bogactwem, nawet przeciwko jego woli, budząc w jego sercu miłość dla Gertrudy.

Spokojnie więc czekała na dzień licytacji publicznéj, który nieszczęśliwych jéj krewnych pozbawiał ostatniego cienia przeszłości, i najmniejszéj w niczem nie udzieliła im pomocy. Licytacja miała się odbyć w pobliskim urzędzie, a chociaż kilka pozostałych budynków, park i grunta należące do fabryki nie miały wielkiéj wartości, to jednak dogodne położenie miejscowości, zarówno na założenie fabryki, jak na urządzenie zacisznéj wiejskiéj siedziby, spodziewać się kazało, że niezbraknie kupujących. Ryszard nie miał zamiaru być obecnym temu smutnemu aktowi; nie mógł nim przeszkodzić, nie chciał też okazać swojéj słabości, w obec tylu ludzi obcych i obojętnych, nie zdolnych pojąć tego uczucia, jakie wstrząsało jego sercem.

W dniu tym stanowczym wcześnie zrana siedział Ryszard na swem zwykłem miejscu przed biórkiem. Pisał do jednego z zakładów belgijskich, odpowiadając, że przyjmuje ofiarowaną tam sobie posadę. Poświęciwszy tyle dni i nocy interesom rodziny Steinlachów, wyjednawszy z trudnością dawnemu właścicielowi fabryki miejsce w Hamburgu, które jako tako mogło wyżywić rodzinę, znalazł wreszcie czas aby i o sobie pomyśleć. Miał pobierać dość znaczną pensją. Poczciwy człowiek, położywszy pióro na chwilę, wsparł na ręku głowę trosk pełną, i zaczął rozważać, jakby dochodami swemi ulżyć rodzicom Malwiny, jak jéj dolę polepszyć i osłodzić, gdyby Feliks zaniechał zamiaru starania się o jéj rękę. Jakoż zwlekanie ze strony Feliksa, było aż nadto uderzające, a Ryszard słusznie przypuszczał, że zmienione stosunki majątkowe Steinlachów,niewalały niejako oficera, posiadającego nie wiele więcéj prócz żołdu porucznikowskiego, do należytego zastanowienia się nad tak ważnym krokiem. Młoda para musiałaby prowadzić bardzo proste i skromne życie, nie tak nie do jakiego oboje nawykli. Przyczyną ociągania się Feliksa, mogła więc być także gotowość zrobienia z siebie ofiary, na wypadek gdyby Malwinie trafiła się korzystniejsza partja. Mogło tak być, Ryszard sądził nawet, że tak być powinno: zdawało mu się bowiem, że każdy mężczyzna, któremu Malwina okaże miłość i zaufanie, powinien zapomnieć o sobie i o swoim losie. Uczuł wzruszenie, jakiego już dawno nie doznał; popatrzył na czerwony dach domku wójta, drogą pędził właśnie Feliks na koniu. Przykro mu się zrobiło, a jednak rad był że Feliks pamiętał o niéj w dniu dzisiejszym, że spieszył ją pocieszyć, chociaż nikt, nikt w całym świecie, nie mógł o niéj tak pamiętać jak on. Lecz wnet przerwał porównania i zebrał się znowu do pisania, gdy w tem, pomimo tak wczesnéj godziny, zawołano go do Sybilli.

Gdy wszedł do niéj, była już według swego zwyczaju zupełnie ubrana, a papiery rozłożone na otwartem biórku okazywały, że dopiero wstała od pracy.

— Ryszardzie, rzekła, odpowiadając lekkiem skinieniem głowy na jego ukłon, mam dla ciebie polecenie. Chcę — a dość źle że muszę — odkupić moją prawowitą własność, i prosiłabym cię abyś mi załatwił ten interes.

— Całkiem naturalne, że pani tak jesteś przywiązaną do miejsca, w którem byłaś szczęśliwą, rzekł prawie z rozrzewnieniem, bo i ze mną tak samo. Bonrath, chociaż pozbawiony ruchu jaki tu dawniéj panował, będzie tem spokojniejszą i przyjemniejszą dla pani siedzibą.

— A więc byłeś przecie szczęśliwym w Bonrath? odparła ze zwykłą szorstkością, podchwytując właśnie tylko te jego słowa, które najmniej do niéj się odnosiły. A cóż stanowiło twoje szczęście, którego nigdy ani cienia nie dostrzegłam?

— Stosunki, odpowiedział po chwili i z lekkiem zarumienieniem, i to, że mogłem tu być użytecznym odpowiednio moim skłonnościom i siłom.

— To możesz mieć i nadal, rzekła poglądając na niego badawczo; wygoda jakiéj mi życzysz, nie jest mojem szczęściem, znajdę ją kiedyś w grobie. Mnie potrzeba do życia właśnie takiego ruchu, jaki w fabryce panował i dla tego chcę ją odbudować.

— Pani! zawołał zdziwiony: w tym wieku, nie mając spadkobierców? — dla kogóż chcesz się trudzić, będąc już tak bliską grobu?

Blade jéj wargi zadrgały konwulsyjnie, ale wnet odzyskała moc nad sobą i rzekła zwykłym opryskliwym tonem:

— Ty wiesz że nie mam spadkobierców?

— Pani Steinlach! zawołał jakby wpadając na szczęśliwy domysł, i chwytając ją za obie ręce: o, pani Steinlach!

Usunęła się czemprędzéj.

— Zawsze te same głupstwa, rzekła niechętnie: upewniam cię że oni wcale mię nie obchodzą. Fabryka wróci w ręce prawowitych właścicieli, aby z niéj zdjęte zostało przekleństwo, nieprawnego dobra — ot, i wszystko. Jeżeli sądzisz — a powinieneś to wiedzieć — że masz jakie obowiązki dla Steinlachów, to kieruj budową i obejmij zarząd fabryki. Rozważ to sobie, każdy powinien wiedzieć jak daleko sięgają jego obowiązki. Mam tu ośmdziesiąt tysięcy talarów papierami; i jeszcze przeszło trzydzieści tysięcy na dobrych hypotekach! jest to mój majątek i chcę go włożyć w to nowe przedsiębierstwo. Na ostatnie dni życia nic mi niepotrzeba; jeżeli fabryka jeszcze raz upadnie, jeżeli poczciwe zamysły, proste skromne, pracowite życie, mające jéj służyć za podstawę, nie zdołają jéj podtrzymać, niezawodnie przygniecie mię swemi gruzami. Grunt nie powinien być bardzo drogi, to skrzydło i stajnia nie mają wielkiéj wartości. Ale choćbym miała dać czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy talarów, Bonrath musi być moim.

Była wzruszona jak rzadko, stała i nieugięta jak zawsze.

— Spełnię życzenie pani, rzekł Ryszard namyśliwszy się prędko, i zostanę w miejscu, — oby Bóg pobłogosławił tak zacnym zamysłom i mojéj pracy! Jeżeli pani urządzisz swoje życie i zajęcia tak, jak to było dawniéj, będziesz miała oczywiście pracę nie małą, ale przy skutecznéj pomocy Gertrudy.......

— Ja jéj nie wiążę przerwała prędko staruszka, i nie chcę stać jéj w drodze, bo w tem do czegoby jéj potrzebowała, na nic mi się nie przyda.

Gertruda siedząca przy oknie milczała dotychczas. I teraz nie odpowiedziała ani słowa, lecz rozpłomieniona pochyliła się nad robotą.

— Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi, mówiła daléj Sybilla, widząc że Gertruda milczy. Gertruda woli żebrać w Amstetten o przytułek, woli odpuścić haniebne zerwanie, niż mieszkać szczęśliwie w Bonrath i zajmować tu uczciwe stanowisko. Niech sobie robi co się jéj podoba.

Dziewczyna wstała z krzesła; łagodna jéj twarz zapłonęła ogniem.

— Pani Steinlach, rzekła drżąco, tego już za wiele, nie godzi się nadużywać cudzego nieszczęścia.

Stara wstrzęsła głową prędko.

— Znam granice moich praw, ale nikt jeszcze nie wie, jak daleko sięga twoja słabość. Tak Ryszardzie, mogła zostać panią nowego Bonrathu, mogła stać się założycielką nowéj, szczęśliwéj rodziny, wybawicielką nieszczęśliwego serca, ale teraz już zapóźno; bujny chwast wyrósł na mojéj roli, pomiędzy moim zasiewem. O! ten ród Amstettenów, to przekleństwo naszego! Nie wiesz, ile cięży na wszystkich, którzy noszą to imię. Patrz na te zwaliska, to ich dzieło. Łzy Gertrudy kto wycisnął? wszak Amstetten. Popatrz tam ku wsi — widzisz pięknego huzara na koniu? To także Amstetten, który zdobywa próżne serce Malwiny, aby je tak jak brat zakrwawić gdy się nasyci.

— Pani Steinlach! zawołał Ryszard przerażony, cóż za okropne proroctwo!

Spojrzała na niego pogardliwie, wiedziała bowiem, że znowu idzie mu tylko o szczęście Malwiny.

— Ona z tego nie umrze, rzekła szydersko, rodzona córka swojéj matki, próżna i lekkomyślna jak ona. Nie czuje też zniewagi; ale ja Ryszardzie, czuję ją i dla tego pogardzam obydwoma, pogardzam całym rodem Amstettenów.

— Pani Steinlach, odparł Ryszard poważnie, ale z wyrzutem, kamienne masz pani serce. Czy to panią uszczęśliwia tak wszystkich nienawidzieć, wszystkimi pogardzać?

— Nie wszystkich, rzekła pogrążona w zadumaniu. Jest i w téj Sodomie jeden sprawiedliwy i ten żyć będzie!

VIII.

W kilka godzin później Feliks Amstetten wyjeżdżał ze wsi wracając do domu. Słońce marcowe świeciło przyjemnie, apromienie jego, które stopiły śnieg leżący niedawno długiemi wązkiemi smugami na polu po obu stronach drogi, zdawały się rozpraszać także i chmury, które dzisiaj osiadły na pogodnem zwykle czole młodzieńca.

Przed kilku godzinami wykonał postanowienie uczciwego serca. Chociaż Malwina straciła urok jaki dawniéj miała dla niego, ofiarował jéj szczerze i z zapałem rękę swoją, aby ją uchronić od biedy i trosk nowego życia, i uczynić uczestniczką świetnych swoich widoków! Feliks Amstetten nie należał wcale do rzędu tych, co szukają tylko dobréj partji, bez najmniejszego względu na głos serca i wymagania lub nawyknienia wykształconego umysłu. Mniemał, że wymagania życia wygodnego i miłości dadzą się pogodzić, i przez długi czas oddawał się złudzeniu, że istotnie kocha Malwinę. Mylił się jak to każdemu niejednokrotnie w życiu się zdarza, ale ofiara pochodziła z dobrego, poczciwego i szlachetnego serca. Wszystkiego wolałby się wyrzec jak zasłużyć na zarzut, że porzucił Malwinę, gdy ją szczęście opuściło; wolałby był wyrzec się na zawsze miłości, jak zatruć młody jéj umysł niewiarą w ludzi.

W dniu tym, tak bolesnym dla nieszczęśliwéj rodziny właściciela fabryki, chciał stanąć obok Malwiny jako wierny stróż i przyjaciel; wiedział, że jego oświadczenie się odejmie dotychczasową gorycz łzom Georginii,—gotował się więc do uczynienia tego kroku z wewnętrznem zadowoleniem, które nawet błogie wzniecił o w nim uczucia. Przejęty od dzieciństwa uszanowaniem i miłością dla matki, prosił ją o pozwolenie do tego najważniejszego w życiu kroku, a hrabina, chociaż niezbyt przychylna rodzicom panienki, chociaż synowi wychowanemu w zbytkach wyższego świata, życzyła bogatszego ożenienia i świetniejszéj sytuacji, chociaż w tajnikach jéj serca ukrywały się dawniejsze pojęcia o szlachectwie rodowem i wstręt do mezaliansów,— wszystko to umilkło w obec smutnych wspomnień własnego małżeństwa, któremu wszystkie te względy nie dały ani pozoru szczęścia, ponieważ mu brakowało miłości. Podziwiała rzadką piękność i wdzięki Malwiny, i znalazła to całkiem naturalnem, że Feliks dał się im oczarować, pobłogosławiła mu więc z całego serca.

Feliks myślał, że posiada już wszystko co mu do tego związku potrzebne, a nie troszczył się bynajmniéj o to co najważniejsze: o zezwolenie Malwiny. Postrzegł nieraz, że była zimniejszą i obojętniejszą niż dawniéj, lecz zmianę tę przypisywał głównie smutnéj zmianie stosunków, które za jego staraniem miały się stać, jeżeli nie całkiem świetnemi, to przynajmniéj o wiele przyjemniejszemi. Malwina wysłuchała go bez zbytecznego zdziwienia, ale też i bez oznak owego dziewiczego drżenia i bojaźni, które wymowniejszemi są nad wszelkie upewnienia.

— Nie, panie hrabio, rzekła czystym głosem, biorąc go za ręce i patrząc poczciwie na niego swemi ciemnemi oczyma; nie, panie hrabio, my się przecież nie kochamy. Nie gniewaj się pan, prosiła słodko, prowadząc go napowrót do krzesła, z którego zerwał się w zdumieniu. Zbadałeś pan pewnie swoje serce, tak jak ja moje — nie, my się nie kochamy. Ale dziękuję, dziękuję panu za szlachetność okazaną mi w téj smutnéj chwili. Nagradza mi ona wiele co straciłam, a jéj wspomnienie będzie mi silną podporą, jeżeli kiedy zachwieje się wiara moja w ludzi. Zostaw mi twoją przyjaźń zamiast miłości, panie hrabio; bez przechwałki mogę się spodziewać, że do tego nie potrzebujesz zadawać przymusu swemu sercu a wyznam panu z całą otwartością, że ta przyjaźń mię uszczęśliwi i że się za nią wywzajemnię całem sercem. Ale sądzę że małżeństwa nie powinno się zawierać ani ze zbytku szlachetności, ani z poczucia obowiązków dla rodziców, ani z obawy o sąd świata. Sama tylko miłość powinna tu rozstrzygać. Ponieważ zaś tego jednego warunku, ani żądać ani dopełnić nie mogę, odpowiadam panu szczerze ale z wdzięcznością „nie", abyśmy oboje tego kroku nie żałowali.

— Panno Malwino, rzekł hrabia, przychodząc powoli do siebie, cóż ty możesz wiedzieć o miłości?

Purpura oblała miłą twarzyczkę dziewczęcia, odwróciła się i odeszła ku oknu.

— Daruj pani, zawołał, zbliżając się ku niéj, nie miałem prawa pytać o to. Ale pani jesteś tak młoda, tak niedawno żyjesz w świecie, który znam dokładnie i w którym śledziłem spojrzenia pani. Gdzież tu miłość mogła się pani objawić?

— Nie myślę się spowiadać, panie hrabio, zawołała na pół z goryczą, na pół z ową filuterną przekorą: która tak jéj była do twarzy nie masz pan prawa żądać tego, wszak jeszcze mi pan nawet nie powiedziałeś, czy będziesz moim przyjacielem.

— Zawsze, zawsze, odrzekł z uczuciem, i chciałbym zasłużyć sobie na zaufanie pani.

— Otóż zawarliśmy związek, rzekła podając mu rękę i piękny związek. Chciała się roześmiać, ale nagle łzy stanęły jéj w oczach i stoczyły się na jego rękę.

— Czemu pani płaczesz? zapytał patrząc na nią z tkliwem współczuciem.

Potrzebowała całéj siły aby przytłumić wezbrane uczucie.

— Bo opuścić muszę to wszystko co kochałam wszystko co życzliwie i przyjaźnie skłaniało się ku mnie, nawet serce pana, przejęte tak szczerą i prawdziwą dla mnie przyjaźnią.

— Zostań więc pani. Uczucie nasze wystarczy nam na całe życie.

— Nie, nie; moje nie i pańskie także nie! zawołała prędko. Przyjaźń nie jest miłością.

— Malwino! zawołała w téj chwili pani Georginia głosem drżącym od wzruszenia, ukazując się w drzwiach bocznych prowadzących do drugiego pokoiku, — Malwino, nie zechcesz przecie swojem romansowem dziwactwem zgruchotać własne szczęście i ostatnią nadzieję nieszczęśliwéj matki. Nikogo nie znała, nikogo nie wyszczególniała prócz pana, — czyż miała sposobność poznać innych mężczyzn? a Wszakże zaczynała dopiero wchodzić w świat. Mimowolnie, będąc tutaj obecną, słyszałam całą waszą rozmowę. Sam pan powiedziałeś, że Malwina jest bardzo jeszcze młodą, zkądże mogłaby wiedzieć o miłości?

Ale Malwina wstrząsnęła głową stanowczo, potwierdzając swoją poprzednią odmowę.

— Nie jestem już dzieckiem, mamo, a chociaż jestem jeszcze młodą, wiem że to co czuję dla hrabiego Feliksa, nie jest miłością. Żądaj odemnie czego chcesz, wszelką ofiarę poniosę ale nie mogę oszukiwać siebie i człowieka, którego całą wartość dzisiaj dopiero poznałam. Wiem, mówiła daléj z naiwnym uśmiechem młodości, że radabyś uchronić mię od tego, co nazywasz biedą i troskami, a co dla mnie biedą nie jest. Zostaw mi wolność pragnąć i marzyć, a będę zadowolona: jeśli zaś będziesz mię zmuszać do poddania się ciasnemu jarzmu obowiązków, jeżli zabronisz mi tego co dzisiaj jest mojem szczęściem, to będę całe życie nieszczęśliwą.

— Boże uchowaj! zawołał Feliks, zostań pani wesołą, swobodną i kochaną: czyste serce pani oby nigdy nie zaznało konieczności przymusowego poddania się obowiązkom pozbawionym uroku szczęścia. Pierwszém prawem świeżéj naszéj przyjaźni będzie, bronić panią od wszelkiego przymusu, a wiem, iż przyjdzie czas, że matka pani podziękuje mi za tę braterską opiekę.

Pani Steinlach zapłakała.

— Straciłam prawo podnosić głos nawet wtedy, gdy idzie o los mego jedynego dziecka,—może sama prędzéj znajdzie drogę do szczęścia, niż idąc za moją radą. Widzę jednak w tem postanowieniu przyszłość pełną goryczy i smutków.

— Bo łzy nie pozwalają ci widzieć daleko, rzekła Malwina. Ale moje oczy widzą dobrze, i z po za téj mgły, która nas dzisiaj otacza, uśmiecha się do nich życie ciche wesołe, pracowite, któremu Bóg nie odmówi swego błogosławieństwa.

— O pewnie, pewnie, pani Steinlach, pocieszał Feliks. Błogosławieństwo Boskie i wesoły uśmiech Malwiny zdaje mi się, że to wielkie bogactwo.

W kwadrans późniéj ucichła rozmowa w małym pokoiku, słychać było tylko wahadło wielkiego zegaru ściennego i cichy płacz Georginii.

Młody oficer, którego szlachetny, męzki postępek tak godnie wynagrodzony został szczerą, przyjacielską odmową, wracał do zamku swego brata uspokojony, zadowolony z siebie i takiego obrotu rzeczy. Oświadczenie Malwiny, że go nie kochała, że jéj serce należało do kogo innego, uwolniło jego zbyt drażliwe sumienie od wszelkich skrupułów, a przy całéj swojéj szczeréj i gorącéj przyjaźni dla Malwiny, przy całem współczuciu dla niéj i dla jéj obecnego nieszczęścia, pojął, że godziło się przecie mieć litość i nad samym sobą. Dziękował w myśli Bogu i Malwinie, która tak stanowczo odrzuciła jego ofiarę, i patrzył przed siebie z uczuciem ulgi i swobody wewnętrznéj, jakiéj dawno już nie zaznał. Koń jego szedł wolno pod górę, na któréj grzbiecie leżała wieś Amstetten, podczas gdy nad nią pomiędzy nagiemi jeszcze drzewami widać było wspaniały zamek. Wierzchowiec znał drogę doskonale, Feliks spuścił się więc zupełnie na niego, a sam zagłębił się w rozmyślaniu. Nie zajmowała go ani przeszłość ani przyszłość, lecz sama tylko teraźniejszość. Jakże byłby szczęśliwy, gdyby i Malwina która mu tyle szczęścia dzisiaj przyniosła, równie jak on swobodną i wesołą być mogła!

Z tego przyjemnego stanu marzenia i rozmyślania, wyrwało go nagle nader niespodziewane zdarze-

nie. Na skręcie i to w miejscu gdzie droga była najspadzistszą, postrzegł lekką bryczkę pędzącą bez woźnicy. Konie młode widocznie spłoszyły się, i poczuwszy że nikt niemi nie włada, korzystały z chwilowéj swobody. W bryczce siedziała młoda kobieta i słabemi rękami z caléj siły trzymała się ścian bocznych,—zachowała jednak tyle przytomności umysłu, że ani nie próbowała wyskoczyć, coby ją było zgubiło, ani nie wołała bezskutecznie o pomoc. I bez jéj wołania jednak pomoc była bliską, bo Feliks jednym rzutem oka pojął grożące jéj niebezpieczeństwo, które wkrótce miało się podwoić za przybyciem w to miejsce, które on już minął. Droga bowiem skręcała się tam pod kątem ostrym i szła tuż po nad kamienistą spadzistością, tak że bryczka mogła nietylko wywrócić się, ale i roztrzaskać w kawałki. W mgnieniu oka Feliks zeskoczył z konia, podał lejce pachołkowi, który mu towarzyszył, i stanąwszy na środku drogi naprzeciwko pędzącego ku sobie ekwipażu, schwycił silną ręką jednego konia za spieniony munsztuk. Konie stanęły, ale nastąpiło ztąd tak gwałtowne wstrząśnienie, że osoba w bryczce siedząca wypadła między kamienie i zarośla ciągnące się po bokach drogi. I teraz nie krzyknęła ani z przestrachu ani z bólu, chociaż spadnięcie pomiędzy ostre odłamy skał i krzaki cierniste bezwątpienia nie było przyjemne. Feliks postrzegłszy, że jego odwaga nie zapobiegła nieszczęściu, puścił konie i szybko zbiegł na dół dla ratowania podróżnéj. Lecz ta wstała już sama i ukazała zaklopotanemu wybawcy świeże jak jagody lica, które przestrach zaledwie trochę pobielił,—ukłoniła się lekko, trochę komicznie,młodemu człowiekowi w obec którego znalazła się w sposób tak nagły i zapewne i nie bardzo przyjemny, a wyczytawszy w jego twarzy nieutajone podziwienie i szczere współczucie, rozśmiała się wesoło, i odsłoniła przytem dwa pełne rzędy bielutkich zębów, o jakich Feliks mógł kiedy marzyć.

— Sługa pańska, wdzięczna sługa pańska, rzekła z uśmiechem, poprawną niemczyzną, chociaż cokolwiek z cudzoziemska: pan chciałeś bardzo dobrze, chociaż inaczéj się stało.

— Ale przecież nie skaleczyłaś się pani—krew jednak widzę..... zawołał przerażony, postrzegłszy pomiędzy błękitnemi żyłkami białéj skroni dziewczęcia kroplę krwi.

— Rana! odpowiedziała z tym samym uśmiechem odgarniając loki ogołocone z kapelusza i przyciskając chustkę do skroni. Ale taka rana nic nie znaczy u nas, które często z stoicką odwagą pozwalamy kłuć się szpilką, byle fałdy leżały prosto. A teraz mój panie wybawco, pomóżże mi wziąść do powozu, a ją wrócę się dla uspokojenia mego biednego ojca.

Feliks przypatrywał się jéj z podziwieniem, bo chociaż wiotka i delikatna, nie miała jednak w sobie ani śladu słynnéj słabości nerwów naszych nowoczesnych kobiet. Żaden mężczyzna nie byłby się mniéj przestraszył i nie ułatwił prędzéj z tem wszystkiem niż ona. Usłużny Feliks zdjął z bryczki kosztowne futro, które jéj spadło z ramion i chciał ją okryć, był to bowiem chłodny dzień marcowy. Usiłowała dopomódz mu, lecz w téjże chwili po raz pierwszy krzyknęła, zbladła i pochyliła się na niego. Feliks w największem zakłopotaniu poglądał to na piękną omdlałą wspartą na jego, ręku, to na drogę nie wiedząc co czynić. Nie było pod ręką a wody ani kropli trzeźwiących, ani wygodnéj sofy. Trzymał ją, jak mógł najostrożniéj, przypatrywał się uważnie ranie która w istocie była tylko lekkiem draśnięciem, i nadaremnie rozbijał sobie głowę, co było powodem tak nagłego zemdlenia. Na szczęście postrzegł kilku ludzi spieszących drogą od wsi prowadzącą, a pomiędzy nimi wysokiego, dobréj tuszy mężczyznę, w którym domyślał się ojca panny. Chociaż inni ludzie prędzéj przybiegli na miejsce, niż ów gruby jegomość z czerwonemi policzkami,Feliks nie puścił zemdlonéj, dopóki nie usłyszał jego głosu.

— Moja córka, moje dziecię, moja Klementyna, czyż żyje jeszcze, czy zdrowa? wołał zdaleka po angielsku, biegnąc śpiesznie.

Zapytania te utwierdziły Feliksa w mniemaniu, iż widzi przed sobą ojca panny.

— Koniom nic się nie stało, proszę pana, zawołał parobczak, który przybiegłszy najprzód, rzucił się zaraz do oglądania bryczki i koni, a na zemdloną nawet nie spojrzał. A to szczęście, to szczęście proszę pana.

Wiekowy jegomość nie słuchał go wcale, lecz z trwogą, którą tylko rodzicielskie serce pojąć i zrozumieć może, patrzył na córkę. Właśnie otworzyła oczy, podniosła się, popatrzyła z zdziwieniem wokoło, a z przytomnością wrócił i uśmiech swawolny, jak widać zwyczajny gość na jéj licu.

— Patrz ojcze, jak źle wypadła pierwsza moja wycieczka bez ciebie, pewna jestem że teraz już nigdy nie przestaniesz wodzić mię na pasku.

— Nierozsądne, lekkomyślne dziecko, łajał czule ojciec, i jestże z czego śmiać się? Dziękuj raczéj Bogu że cię zachował.

— I temu panu, rzekła potakując, którego energiczna interwencja uratowała mi przynajmniéj jedną rękę.

Ojciec panny i Feliks, bo chłopi nie rozumieli téj rozmowy prowadzonéj po angielsku, spojrzeli na siebie zdumieni,—ona zaś mówiła daléj z uśmiechem:

— Tak, jedną rękę, mój panie rycerzu, bo druga jest złamana czy zwichnięta, lub Bóg wie co.

— Klementyno, dla Boga, i ty się śmiejesz! zawołał ojciec w rozpaczy.

— Śmiéj się i ty ojcze! odpowiedziała, z jedną ręką mam prawo do dożywocia w twoim domu inwalidów, a tak zostaniemy razem.

— Klementyno, ty mię zabijasz, zawołał ojciec niecierpliwie, pokaż rękę, czy chcesz żebym się na śmierć zadręczył?

Usiłował zdjąć z niéj salopę, lecz stłumionym głosem krzyknęła z bólu:

— Przeciez tutaj nie będziesz oglądał mój ojcze, rzekła rumieniąc się z lekka, a zresztą wcale nie powinieneś oglądać, bo niewidziałam nigdy twego dyplomu doktorskiego.

— Ale pomoc szybka koniecznie jest potrzebna, odezwał się Feliks, a tu we wsi nie ma nawet lekarza. Trzebaby posłać do miasteczka leżącego za Amstettenem, lecz niepodobna, aby pani jechała do niego po złéj drodze, lub czekała na jego przybycie w nędznym szynku wiejskim, pozbawiona najkonieczniejszych wygód, podczas gdy w zamku mojego brata hrabiego Amstetten, pod opieką mojéj matki, niczego nie braknie dla przyniesienia pani skutecznéj pomocy.

— Ach! panie! jakże jesteś łaskaw, ileż ofiar i poświęceń z twéj strony! zawołał obcy, ściskając go serdecznie za rękę. Prawdziwie, nie powinienbym już nadużywać twojéj dobroci — lecz przykre położenie zmusza mię do tego. Przyjmuję więc twoje zaproszenie, wierzaj jednak, że nigdy nie przestanę być ci wdzięcznym.

Feliks ukłonił się i z ukosa spojrzał na pannę. Wejrzenia ich spotkały się, Klementyna rzekła:

— Przepraszam, nie jestem wcale w spółce z moim ojcem, i moje długi płacę sama. Dziękuję więc panu z całego serca i chętnie przyjmuję tę nową usługę.

Feliks nie widział jeszcze nigdy takiéj otwartości, jakiéj serdecznéj szczerości. Klementyna przypomniała mu Malwinę, która niegdyś tak odznaczała się temi przymiotami, dopóki nieszczęście nie sprawiło zmiany w jéj usposobieniu.

— Pozwolisz mi pani przyjąć rolę woźnicy? zapytał Feliks. Jakiekolwiek byłyby konie, potrafię im dać radę, a wszystko zależy od woźnicy.

— Uważałam to, odpowiedziała Klementyna.

— Ależ Klementyno, zapytał ojciec przypomniawszy sobie, że nie wie jeszcze co było przyczyną nieszczęścia: cóż ty zrobiłaś z końmi?

— Nic, mój ojcze, odrzekła! Siedząc sama, bawiłam się biczem, poruszyłam nim konie koło uszów, i pognały natychmiast.

Wiekowy jegomość westchnął.

— Kiedyś przyjdzie do tego, że cię stracę w skutek podobnéj nieostrożności. Któż słyszał łaskotać konia po uszach!

— Ojcze, rzekła, widziałam ludzi, którzy źli gdy ich honor drażniono, myślałam więc że i konie będą równie cierpliwe. Ale teraz, dodała tonem prośby, każ woźnicy aby się spieszył, chciałabym jak najprędzéj wypocząć.

Ojciec krzyknął na woźnicę, który powoli rozplątywał postronki i na nowo zaprzęgał konie.

— Ale cóż będzie z terminem na dom inwalidów? zapytała znowu! Przeminie tymczasem?

— Ach dziecko, nie dręcz mię już, gdzież nam myśleć teraz o tem, odpowiedział, poczem zwrócił się do Feliksa z objaśnieniem, że miał zamiar kupić pogorzałą fabrykę w Bonroth.

Feliks z wzrastającem zajęciem przypatrywał się obcemu.

— Mniemam rzekł, że będziesz pan miał wielu współzawodników, bo jak mówią znawcy, rzadko znajdzie się miejsce równie dogodne na fabrykę.

— W istocie tak jest, odpowiedział, ale ja chciałbym tam postawić dom inwalidów, jak mówi moja córka, to jest osiąść tam dla wypoczynku. Gdybym mógł jeszcze pracować, byłbym pozostał w Stanach Zjednoczonych, bo tylko w Ameryce umieją cenić i szanować pracę. To jednak nie znaczy, że w Ameryce można tylko pracować; przeciwnie, nigdzie nie żyje się przyjemniéj jak tam, nigdzie lepiéj wypoczywać nie można. Ale nie mogę żyć bez dzieci, a dzieci chcą zostać w Niemczech.

Feliks spojrzał badawczo na pannę, a ta rzekła z uśmiechem:

„Nigdzie nie żyje się przyjemniéj jak w Ameryce, ale ja nie mogę żyć bez mojéj siostry, a ta chce zostać w Niemczech.“

(d. c. n.)

———

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH

PRZEZ

Aleksandra Dumasa (ojca) 1).

NEAPOL.

(Dalszy ciąg).

Dopóki trwa karlin, mówił daléj pan Marcin Zil, stangret wiezie pana,—jak karlin zużyje się stangret staje i każe panu wysiąść. Jeżeli chcesz jechać daléj to mówisz;

—Jeszcze za jednego karlina, karrikolo jedzie daléj.

— Ale zapłaciwszy karlina mogę jechać gdzie mi się podoba?

— Wcale nie! możesz pan jechać tylko tam gdzie pana konie zawiozą. Karrikolo jest to samo co balon. Nie wynaleziono jeszcze sztuki kierowania nim.

— A dla czego jeżdzą karrikolem?

— Dla przyjemności jechania nim.

— Jak to? Więc dla przyjemności tłoczy się w nim do dwunastu i piętnastu osób, kiedy zaledwie jest miejsca na cztery?

— Tylko dla tego.

— Oryginalna rzecz!

— A jednak prawdziwa.

— Ale gdybym zaproponował właścicielowi karrikola, żeby mi go wynajął na miesiąc, na tydzień, lub na dzień.

— Odmówi.

— Dla czego?

— Bo nie ma tu takiego zwyczaju.

— To się go nauczy.

— W Neapolu nie przejmuje się nowych zwyczajów, i trzyma się starych jakie się ma.

— Tak myślisz?

— Jestem najpewniejszy.

— Tam do licha, a zachciało mi się karrikola. Muszę się go wyrzec.

— Nie wyrzekaj się pan.

— A jakim sposobem dokazać tego, kiedy nie wynajmują karrikola ani na miesiąc, ani na tydzień, ani na dzień?

— Trzeba sobie kupić karrikolo.

— To nie dosyć mieć karrikolo — trzeba jeszcze mieć konie.

— Kup go pan z końmi.

— Ale to mię będzie zbyt wiele kosztować.

— Nie!

— A wiele na przykład.

— Zaraz panu powiem.

I pan Marcin, bez atramentu i bez pióra, podniósłszy nos do sufitu, rachował na pamięć.

— To pana będzie kosztować; karrikolo dziesięć dukatów, konie sześćdziesiąt karlinów, uprząż jednego pistola, razem 80 franków francuzkich.

— A to cud! I za dziesięć dukatów będę miał karrikolo?

— Przepyszny!

— Nowy?

— Za wiele się panu zachciewa! Naprzód nie ma wcale karrikola nowego, a powtóre karrikolo nie istnieje już — został prawie zabity.

Jakim sposobem.

— Jest wyraźne postanowienie policji, zakazujące fabrykantom robić nowe karrikola.

— A kiedy to prawo wydano?

— Będzie temu przeszło pięćdziesiąt lat.

— A jakim sposobem karrikolo dożył do tego czasu?

— Czy znasz pan historję noża Ravaillaka?

— Przecież to moje narodowe podanie.

— Właściciele tego noża odmieniali już piętnaście razy trzonek.

— I piętnaście razy ostrze zapewne.

— No! naturalnie a mimo to uchodził zawsze za prawdziwy.

— Najzupełniéj.

— A zatem to samo się trafiło karrikolowi. Zabroniono robić nowe karrikole, ale nie zabroniono robić nowych kół do starego wasągu, i nowych wasągów do starych kół.

— A! rozumiem.

— Tym sposobem karrikolo broni się i żyje i stał się nieśmiertelnym.

— Co tchu dawaj mi karrikolo ze starym wasągiem a nowemi kołami.

Każę je umalować i daléj w drogę!... Ale zaprzęg? Powiadasz ze za trzydzieści franków będę miał zaprzęg?

— Wyborny, poleci jak wiatr!

— Jaki rodzaj koni?

— Ależ, mój Boże! będą to konie umarłe.

— Co znowu? konie umarłe?

— Pojmujesz pan że za taką cenę nie możesz wymagać nic lepszego.

— No! no! mój panie Marcinie, trzeba się nam porozumieć, bo jak mi się zdaje wpadliśmy na niedorzeczność.

— Wcale nie.

— A zatem wytłomacz mi tę zagadkę. Przecież podróżuję dla tego, żebym się czego nauczył.

— Czy znasz pan historję koni?

— Historję naturalną? Według Buffona, koń po lwie, jest najszlachetniejszem zwierzęciem na ziemi.

— Ale nie historję naturalną tylko filozoficzną.

— Nie zajmowałem się nią. Ale to nic nie szkodzi, mów pan daléj.

— Czy wiesz pan jakie są losy tego czworonoga?

— Ba! jak jest młody, bywa zwykle wierzchowcem.

— A potem?

— Od siodła przechodzi do karety, od karety do dorożki, od dorożki do woziwody, a w końcu dostaje się do jatek.

— A od jatek?

— Idą tam gdzie idą dusze sprawiedliwe.... na pole Elizejskie.

— U nas przechodzą jeszcze jedną fazę.

— Jaką?

— Od jatek dostają się do karrikola.

— Co znowu?..

- Oto jest miejsce gdzie zabijają konie, przy Ponte della Maddalena.

— Cóż daléj?

— Ciągle tam krążą amatorzy...

— Wybornie!

— I kiedy przyprowadzają konia skazanego na śmierć, to oni kupują tę skórę chodzącą za trzydzieści karlinów. Cena stała, bo jest na taryfa.

— A potem?

— Zamiast tedy zabić i obedrzeć go skóry, amatorzy zabierają skórę i konia; użytkują z konia przez pewien czas, i pewni że im skóra nie ucieknie. Oto co, u nas nazywa się: konie umarłe.

— Ale co można robić z takiemi bydlętami?

— Zaprzęgają ich do karrikola.

— Jak to! to ja takiemi końmi przyjechałem z Salerno do Neapola?..

— Są to cienie koni, konie tak zwane widma.

— Przecież ciągle biegły galopem?

— Umarli prędko jeżdżą.

— Wierzę jak je się napasie owsem.

— Owsem? Nigdy koń karrikolski nie je owsa!

— A czemże żyje?

— Co znajdzie.

— A co znajduje?

— Różne rzeczy! głąby kapusty, liście sałaty, a często i stare kapelusze słomiane zamiast siana.

— Więc mamy i konie! Pozostaje uprząż.

— Co do tego, sam się tem zajmę.

— A konie?

— I końmi także.

— A karrikolo?

— I karrikolem, jeżeli pan sobie życzysz.

— A na kiedy to wszystko będzie gotowe?

— Na jutro rano.

— Jesteś zachwycający człowiek!

— Czy trzeba panu stangreta?

— Nie! sam będę powoził.

Nadszedł wieczór, a z wieczorem chłód. Kiedy wionął słodki wiaterek od morza, wszystkie okna w Neapolu na raz się otworzyły. Bramy zaskrzypiały na zawiasach i powozy zaczęły wyjeżdżać. Chiaja zapełniła się ekwipażami, a Villa Reale pieszymi.

Nie miałem jeszcze ekwipażu, wmięszałem się między pieszych.

Villa Reale leży naprzeciwko hotelu Vittoria i jest miejscem przechadzki dla Neapolu. Jest to najpiękniejsza i najarystokratyczniejsza przechadzka na świecie. Lud i lokaje nie mogą tam wchodzić tylko raz na rok w święto Matki Boskiéj *Pied de la Grotte*. To też owego dnia cisną się tłumy po tych aleach akaciowych, pomiędzy myrtowemi klombami, naokoło rotundowéj świątyni. Mężczyzni i kobiety zbiegają się zdaleka w swoich narodowych kostiumach. Ischia, Kaprea, Castelmare, Sorrente, Procida wysełają w deputacji najładniejsze swoje dziewczyny. Uroczystość ta jest tak wielka, tak gorąco upragniona, że w kontraktach ślubnych stawią się wyraźnie zastrzeżenie, żeby mąż poprowadzał żonę co rok na wielką promenadę w Villa Reale dnia 8 Września (1).

Wróciwszy już po północy do hotelu, spotkaliśmy pana Marcina, który nas zawiadomił, że wszystkie zlecenia co do ekwipażu już wykonane i że jutro rano o ósméj, karrikolo będzie czekał na nas przed bramą hotelu.

Rzeczywiście, o oznaczonym czasie dały się słyszeć dzwonki koni umarłych. Wyjrzeliśmy oknem, przed bramą stał król karrikolo. Pomalowany był na czerwono, a na tym gruncie widać było różne zielone desenie, przedstawiające drzewa i zwierzęta, słowem raj ziemski. Dwa niecierpliwiące się konie pokryte były uprzężą przybraną w różne płaty i świecidła. Jakiś człowiek z długim biczem w ręku stał przy koniach i przypatrywał się z uwielbieniem ekwipażowi.

Zeszliśmy na dół i poznaliśmy Franciszka, który nas przywiózł z Salerno do Neapolu. Pan Marcin

---

¹) Villa Reale, na wielką skalę wygląda tak jak w Warszawie Krakowskie Przedmieście, Hotel Saski Skwer, z tą róznicą, że po za tem wszystkiem, w Neapolu widać morze, a w Warszawie nawet Wisły nie widać.

Zil udał się do niego jako do człowieka fachowego. Ujęty tem zaufaniem Franciszek, wywiązał się z wszystkiego dobrze i sumiennie, a w dodatku ofiarował nam swoje usługi jako stangret.

Zażądałem naprzód rachunku. Jak powiedział pan Marcin Zil, tak się stało. Cały ten sprawunek kosztował 81 fr.; dałem mu 90 i zabierałem się do wsiadania.

— Czy panowie nie zatrzymują mię przy sobie?

— A na co mój przyjacielu?

— Jak to, na co? Na to żeby się te konie ruszały przecie.

— My sami to potrafimy.

— Zobaczymy!

— Powodowałem daleko bystrzejszymi niż twoje.

— Ja nie mówię, jaśnie panie, żeby były bystre,— ale...

— Ale co?

— Ale jaśnie pan powodował dotąd żywemi końmi, a te...

— A te?..

— A tę są konie umarłe.

— To co z tego?

— Robię uwagę jaśnie panu, że to wcale co innego.

— Dla czego?

— Jaśnie pan zobaczy?

— Czy twoje konie mają jaką wadę?

— Żadnej! Jak klacz Rolanda moją same dobre przymioty, a jedną tylko wadę.

— Jaką.

— Że są umarłe.

— Ale jeżeli ja ich nie zmuszę do biegu, to nikt tego nie dokaże.

— Przepraszam jaśnie pana!

— A kto?

— Ja.

— Ciekawym bardzo zobaczyć to.

— Niech jaśnie pan sprobuje.

Franciszek oparł się obojętnie o bramę, a ja skoczyłem w karrikolo, lewą ręką uchwyciłem lejce, a prawą swisnąłem biczem po nad obydwoma końmi. Ale żaden z nich nie drgnął nawet. Pomyślałby kto, że konie marmurowe. Manewrowałem lejcami i biczem na wszystkie strony, nie ruszyły się. Zacząłem łechtać je po uszach, wstrząsały głową jakby opędzały się od much i nic więcéj. Przekręciłem organizm bicza i okładałem je biczyskiem; kurczyły tylko skórę, jak osioł kiedy chce zwalić z siebie jeźdźca.

Trwało to już z dziesięć minut. Wszystkie okna w hotelu pootwierały się, a naokoło karrikola zebrało się ze dwieście lazaronów. Spostrzegłem się żem wyprawił dla neapolitańczyków widowisko gratis. Ponieważ nie przyjechałem tu po to, żeby bić się o lepszą z poliszynelem, rzuciłem bicz i lejce Franciszkowi. Najspokojniéj w świecie usiadł za nami, poruszył lejcami i uderzył leciutko konie, które z miejsca pobiegły galopem.

Po różnych ewolucyach na całym placu, zdołał przecież Franciszek skierować umarłe bieguny na ulicę Chiaja.

III.

Chiaja.

Chiaja jest ulicą, a zatem nie może nam dać nic innego tylko to, co daje każda ulica: szereg domów mniéj więcéj wspaniałych. Chiaja nie ma w sobie nic ciekawego, ale jest bardzo ważną z tego względu że przez nią jedzie się do grobu Wirgiliusza, do Psiéj Groty, do jeziora Agnano, do Puzzole, do Bojów i na Pola Elizejskie.

Pozostawiając opis pałaców na ulicy Chiaja jakiemu uczonemu architektowi, powiemy kilka słów o neapolitańskiéj arystokracji, bo właśnie na ulicy Chiaja zbiera się cała arystokracja o trzeciéj po południu w zimę, a o piątéj w lecie, i robi *corso* (1).

Wysoka szlachta neapolitańska, tak samo jak wenecka, nie cytuje nigdy daty swoich urodzin. Może kiedy skończy się, ale z pewnością nie miała początku. Podług ich wiary, najświetniejszą epokę dla ich rodzin były czasy cesarzów rzymskich. Wszyscy pochodzą w prostéj linii od Fabiuszów, Scipionów i Marcellów. Ci, których genealogia nie sięga daléj jak do dwunastego wieku, uważani są za drobną szlachtę.

Jak w całéj Europie, wyjąwszy Anglję, tak i w Neapolu szlachta jest zrujnowaną. Kiedy mówię zrujnowaną, to się ma rozumieć względnie: najbogatsi są biednymi w porównaniu z tem, czem byli ich przodkowie.

Nie wiem czy jest w Neapolu choć cztery rodzin, któreby miały pół miljona franków dochodu. Mających po 200,000 jest dwadzieścia, a pięćdziesiąt między 50 a stu-tysiącami dochodu. Najwięcéj jest takich co mają od 10-20 tysięcy. Nie liczą w to długów.

Ale to jest ciekawem, że nie widać wcale téj różnicy. Na pozór wszyscy tam mają jednakową fortunę, bo wszyscy żyją w swoim powozie i w swojéj loży.

Owóż, ponieważ wszyscy, wyjąwszy ekwipażów ks. Ebali, Sant-Antimo i Sant-Teodo, które biją w oczy, mają mniéj więcéj nową karetę, mniéj więcéj stare konie, mniéj więcéj wypłowiałą liberję, i zdaje się na oko że mała między nimi różnica, a często jest tam przepaść.

Co się tyczy domów, te są hermetycznie zamknięte. Trzy tylko lub cztery książęce pałace, otwierają w dzień swoje galerje, a wieczór swoje salony; reszty nie widać wcale. Minęły już czasy kiedy Ferdynand Orsini położył na swoim pałacu napis: *Sibi, suisque et omnibus amicis*, (sobie, swoim i wszystkim przyjaciołom).

Bo też wszystkie utraciły dawną swoją świetność. Gdybyśmy się mogli, za sprawą Asmodeusza, dostać do wnętrza tych mieszkań, znaleźlibyśmy jedną trzecią w biedzie, a dwie trzecie w nędzy.

Dzięki temu że można tam żyć w powozie i w loży, nikt tego nie widzi.

Składa się bilet wizytowy w pałacu, ale się spotyka na Corso, lub oddaje wizytę na Fondo lub Saint-Charles. Tym sposobem honor zostaje ocalonym.

Powiecie może, że honor ocalony to piękna rzecz, ale obok tego: żeby żyć trzeba jeść. Odpowiem wam na to, że Bóg jest wielki, morze głębokie, makaron kosztuje dwa susy funt, a flaszka Asprino d'averra dwa liordy. Dla objaśnienia moich czytelników, którzy nie wiedzą co to jest Asprino d'Aversa, dodaję: że to jest lekkie wino, jak tyzanna szampańska lub jabłecznik normandzki. Owóż z ryby, makaronu i asprino, można złożyć śliczny obiad, kosztujący cztery susy na osobę. Przypuśćmy że rodzina składa się z pięciu osób, to obiad kosztuje dwadzieścia susów.

A śniadanie?

Śniadania nie jedzą. Dowiedziono jest, że to bardzo zdrowo jeść raz tylko na dwadzieścia cztery godzin. Tylko ten raz zmienia nazwisko i porę podług kalendarza. W lecie wieczerzają o północy, i to im wystarcza do następnéj północy. W zimę obiadują o drugiéj, i taki obiad wystarcza im do drugiéj nazajutrz. Oprócz tego są tam eleganci, którzy jedzą chleb bez makaronu, lub makaron bez chleba, dla tego żeby mogli wieczorem zajadać z hałasem lody w cukierni Donzelli lub Benevenuti.

Ten sposób życia zachowują, rozumie się, same chude kieszenie. Ci co mają po 500,000 fr. dochodu, jedzą trzy razy na dzień i mają kucharza francuza. Dla takich raj jest wszędzie!

Najgłówniejszą zabawą neapolitanskiéj arystokracji jest gra. Rano chodzą do Kasino i grają. Po objedzie jadą na przechadzkę, potem do teatru, a po teatrze wracają do Kassino i znowu grają.

Jeden tylko był zawód otwarty dla arystokracji,— dyplomacja. A ponieważ były król neapolitański, mimo najszczersze chęci, mógł tylko sześćdziesiąt osób pomieścić na ambasadach i konsulatach, to pięć szóstych młodéj szlachty nie wiedząc co robić nic nie robiło.

Co do wojskowego zawodu, ten nie daje żadnéj przyszłości: co da handlu, ten hańbi wielkich panów. Nie mówię nic o zajęciach naukowych i literackich —te nie istnieją wcale dla nich. Jest w Neapolu pewna liczba uczonych, którzy gorąco rozprawiają o tem, jaki kształt miały szczypce greckie lub rzymska łopata, ale się to odbywa w kółku rodzinnem.

Główną rzeczą jest miłość. We Florencji miłość jest rozkoszą; w Rzymie jest miłością, w Neapolu zmysłowością.

W Neapolu losy zakochanego rozstrzygają się prędko i stanowczo. Albo się podoba albo nie podoba. Jeżeli się nie podoba, to ani zabiegi, ani podarunki, ani wytrwałość nic nie pomoże; nie będzie kochanym. Jeżeli się podoba, to się go zaraz kocha, nic nie odkładając: życie krótkie, a czas prędko ucieka i nie można go zatrzymać. Kochanek kochany przeprowadza się do mieszkania ukochanéj. Mimo to, że zawsze się go widzi zdaleka od pani domu, każdy go zaraz pozna po tem że siada sobie swobodnie, lub z niechcenia opiera głowę o freski. On dzwoni na służbę, on odprowadza gości, i on zbiera czerwone rybki, kiedy je dzieciaki rozrzucają po posadzce, dobywając z małych sadzawek szklannych.

A tymczasem nieszczęśliwy kochanek odchodzi zdrowiuteńki, bo sobie mówi, że los nie będzie go ciągle prześladował, że i on będzie kiedyś zbierał czerwone karpie.

Arystokracja neapolitańska jest bardzo mało wykształcona; wychowanie jéj pod względem naukowym, jest zupełnie zaniedbane, bo też nie ma w Neapolu dobrych szkół. Za to ci którzy co umieją, umieją to dobrze. Znałem kobiety, które umiały lepiéj historję, filozofię i dyplomację, niż nie jeden patentowany historyk, filozof, dyplomata. Rodzina margrabiego Gargallo jest pod tym względem cudownem zjawiskiem. Syn mówi i pisze po francuzku jak Karol Nadier, a córki jak pani Sévigné.

(d. c. n.)

1) Paradna przejażdżka.

N. 1. Pelerynka tiulowa z rękawami garnirowana gipiurą. Krój w dodatku N. X. Fig. 27.

Dalszy ciąg opisu N. 37.

N. 12—15. Dwa kołnierzyki i dwa mankiety damskie.

N. 12. Przedstawia kołnierzyk z tyłu stojący, z przodu z wykładanemi końcami, z łatwym a tak dobrze wydającym się haftem gipiurowym, którego deseń podany w N. 36 T. Mód rycina N. 14. Oprócz haftu kołnierzyk oszyty jest koronką. Odpowiedni do niego mankiet N. 14 przybrany jest koronką, wstawką wstążką podwleczoną i kokardami.

N. 13. Kołnierzyk wykładany

z szlakiem gipiurowym, na który deseń narożnika podany w N. 36 rycina 15.

Odpowiedniej formy mankiet podajemy pod N. 15. Odmienny rodzaj przybrania służyć może za wzór bardzo ładnego garnituru, złożonego z kołnierzyka i mankietów, odrobionych z plis skośnych muślinowych i przybranych rodzajem koronki *bruges*, z deseniem wypukło odstającym.

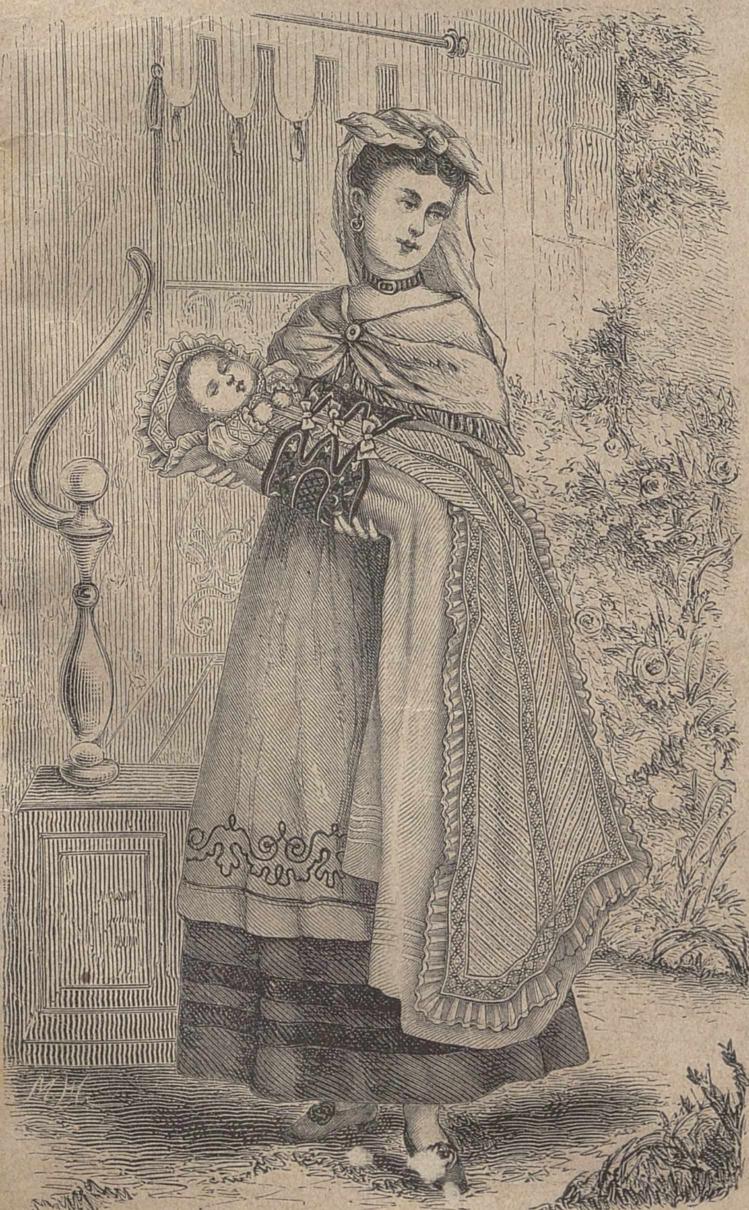
N. 16. Kostium z płótna „écru" garnirowany batystem.

Garnirunek kostiumu stanowi, 12 cen. szerokie plisowanie z batystu białego, zakończone ząbkami lub wązkim haftowanym szlaczkiem, dawane naprzemian z falbanami z płótna „écru" 9 i pół c. szerokiemi. Górna falbana płócienna, drugą spódniczkę naśladująca, z boków na 60 c. w górę podniesiona, zakończona jest nagłówkiem z batystowego plisowania, podwójnie jedno na drugie zachodzącego, lub na dwie strony ułożonego i wązką stębnowaną pliską przeszytego. Takaż tylko węższa, falbana z nagłówkiem plisowanym, stanowi garnirunek tuniki i kaftanika z tyłu przeciętego, z przodu w trzy klapki zakończonego. Przy szeroko puszczonych rękawach, powtó-



N. 2. Luźny kaftanik tiulowy. Krój jak do ryciny 10—12 w Tygodniku Mód N. 22.

nirunek, jak przy spódnicy. Część przednią tiuniki stanowią dwa oddzielne liście, w środku 57 c., z boków 37 c. dł., w górze około 20, u dołu 32 c. szerokie. Dwa bryty tylne w górze z sobą zeszyte, z boków ku przodowi



N. 3. Długa sukienka z paskiem dla dziecka piastującego się na rękach. Krój sukienki N. IV. Fig. 9—11. Deseń do wyszycia wstawki



N. 4. Suknia muślinowa z pliskami muślinowemi. N. 5. Przykrycie tiulowe na poduszkę dla niemowlęcia. Zobacz rycinę 7—11 w Tyg. Mód N. 36

skośnie ścięte, u dołu także we dwa liście zakończone, mają środkowej długości 90, bocznéj 60 cenym. a szerokości 67 centymetrów. W górze bryty tylne układają się w podwójne kontrafałdy, do 9 c. objętości i przyszywają do paska; pufy układają się za pomocą trzech tasiemek 22 i 18 cent. długich, przy środkowym szwie na 12 cent. od dołu, z boków na 42 c. przyczepionych, a w górze do paska przymocowanych.

N. 17. Kostium z pasowanego perkalu.

Przód stanika rycina 35.

N. 18 — 19. Koszyczek płaski.

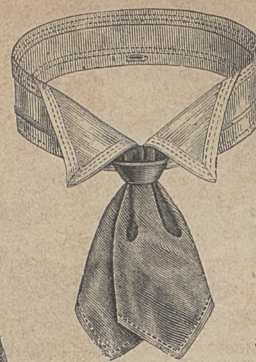
Robota fantazyjna.



N. 7. Mężki kołnierzyk wykładany. Krój N. III Fig. 7 i 8.

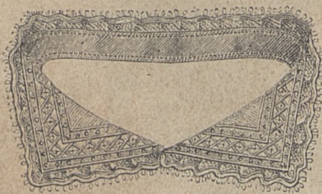


N. 6. Surducik mężki do ubrania domowego. Krój N. I. Fig. 1—4.



N. 8. Kołnierzyk męzki z wykładanemi rogami krój N. II Fi. 5 i 6.

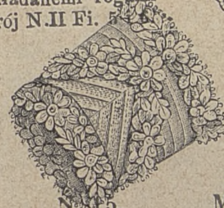
Obrączki te trzeba równo okręcić bawełną, potem ze sznurka gotowego, albo własnoręcznie robionego, układać pojedyncze węzły, podług wzoru naturalnéj wielkości ryc. 19. Węzły te przymocować trzeba złotym kordonkiem, do obręczy z drutu, i przystroić pojedynczemi perełkami. Gdy węzły w równych odstępach umieszczone będą wkoło, wypełnia się pozostałe w górze przerwy, pojedynczemi łukami ze sznurka, i umacnia kształt, przewleczeniem przez środek węzłów, nieznacznie od spodu, cieńszego druta. Nakoniec dodaje się pod węzły jedwabną podszewkę, w górze riusza ze wstążki przyszytą, a dno pokrywa



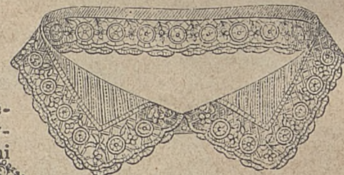
N. 12. Kołnierzyk damski. Narożnik do niego rycin. 14 w T. Mód N. 36.



N. 14. Mankiet garnirowany patkami.



N. 15. Mankiet garnirowany koronką „Bruges.“



N. 13. Kołnierzyk damski. Narożnik do niego ryc. 15 w T. Mód N. 36.



N. 9. Kokarda krawatowa dla mężczyzn.

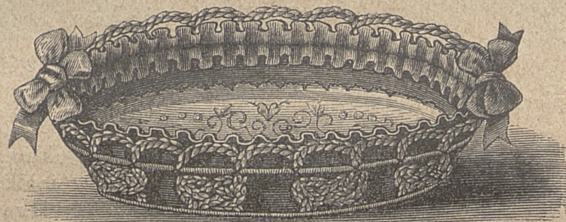
N. 10. Szalik krawatowy dla mężczyzn.



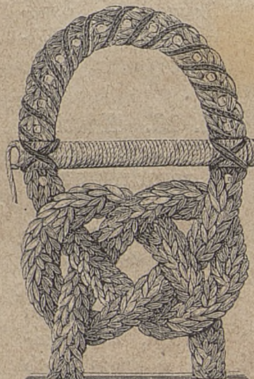
N. 11. Szalik krawatowy dla mężczyzn.



N. 16. Kostium z płócienka „écru“ z batystowym garnirunkiem.



N. 18. Koszyczek płaski. Zobacz brzeg ryc. 19.



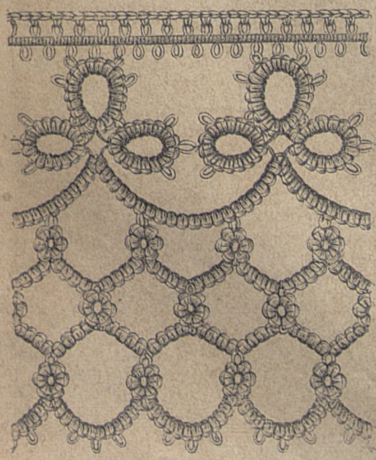
N. 19. Wykonanie brzegu koszyczka do ryc. 18.



N. 17. Kostium perkalowy z odpasowanym szlakiem. Przód stanika ryc. 35 w Tyg. Mód 37.

Materjał: Kręcona bawełna, albo też już gotowy pleciony sznurek, złoty kordonek, kolorowa materja i wstążka; tektura.

Ten rodzaj koszyczka służyć może do chowania robótek, do biletów lub toaletowych drobiazgów, albo jako koszyczek na postumencie, który podany pod N. 20. Dno płaskie, stosownie do woli, owalne albo okrągłe, wykrawa się z tektury i podkleja najpierw dobrą podszewką od spodu; na boki najlepiéj kazać zrobić blacharzowi lub druciarzowi, dwie zalutowane obrączki z grubego drutu, z których górna powinna być proporcjonalnie większa od dolnéj, ażeby koszyczek był zgrabny i szerszy w górze.



N. 21. Szlak frywolitowy do brzegu koszyczka ryc. 20.

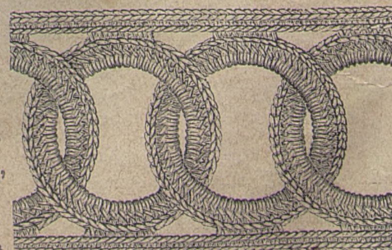


N. 20. Koszyczek do robót z postumentem składanym. Zobacz ryc. 16 i 17 w Tyg. Mód N. 36.

się w ząbki wyciętem haftowanem suknem. (Zobacz rysun. 28 w N. 33 Tyg. Mód). Kokardy z takiejże jak riusza wstążki, zastępują uszy koszyczka.

N. 20—22. Koszyczek na składanym postumencie.

N. 20, przedstawia ustawiony, improwizowany stoliczek do robót, szczególnie dogodny w podróży i na wsi, bo go z łatwością złożyć i do kufra zapakować można. Rysunek 16 w N. 36 Tygodnika podaje takiż postument złożony.



N. 22. Szlak szydełkowy do brzeg koszyczka ryc: 20.



N. 23. Tło i brzeg do powijaka 22 w T. M. N. 36. Rob. szydełk

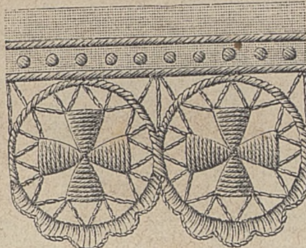
Postument ten odrobiony z ciemnego drzewa, albo prętów trzciny, składa się z dwóch części; dwa długie pręty każdéj części, mają wraz z nóżkami na zewnątrz wygiętemi, 76 c. wysokości; dwa poprzeczne zawiaskami przytwierdzone dolne pręciki mają po 23 cent. a górne po 29 c. długości; te ostatnie są wzdłuż, na wylot przewiercone i opatrzone sznurami z drewnianemi sztyftami; służącemi do przytwierdzenia koszyczka, którego dno podaje ryc. 17 w N. 36 Tyg. Mód. Przy tem dnie, widać dwie poprzeczne, 9 cent. długie listwy, także na wskroś przewiercone, w które sztyfty się wkładają. Postument okręcony jest włóczką pąsową, a kwasty włóczkowe w kształcie kulek wiszących, przyozdabiają sztabki gorne. Dno 40 c. długie 25 c. szerokie pół c. grube, może być z drzewa malowidłem ozdobionego, albo haftowanem suknem czy aksamitem oklejonego, lub nakoniec z tektury uklejone i haftem czy gładką materją pokryte. Galeryjka 3—5 cent. wysoka, nastręcza sposobność do różnych pomysłów i ozdób. Pod N. 21—22 podajemy na ten cel wzór roboty frywolitowéj i szydełkowéj, który żadnego szczegółowego opisu nie potrzebuje. Szary, gruby, niciany kordonek, bardzo będzie do téj roboty właściwy. Wykończoną robotę można kazać posrebrzyć, a tem samem do potrzebnéj sztywności doprowadzić, albo też saméj gęstą, przezroczystą gumą robotę pociągnąć i zanim zupełnie wyschnie pogładzić kulką szklanną. Zamiast gumy można użyć koralowego lakieru. Przypominamy także czytelniczkom naszym opisywane w roku zeszłym roboty z drutu i trzciny, które się kordonkiem szarym nicianym łączy, a następnie włóczką pąsową lub zieloną owija i lakieruje.



N. 24. Przyrząd do wycierania piór ze szczoteczką.



N. 27. Deseń na poduszkę do kanapy. Aplikacja „en relief". Zobacz ryc. 28.



N. 26. Szlaczek gipiurowy.

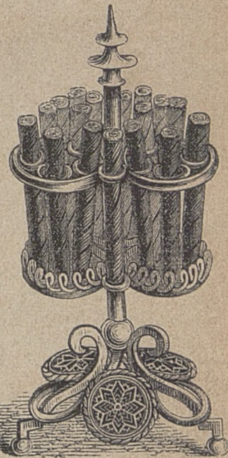
N. 23. Tło i brzeg do powijaka.

Ryc. 22 w T. Mód.

N. 24. Przyrząd do ocierania piór ze szczoteczką.

Robota fantazyjna.

Przy pięknym z drzewa wyrobionym postumencie szczoteczki, ręczną robotę stanowi haft około dolnéj jego części naklejony. Może on być na suknie albo skórze jedwabiami kolorowemi, albo na kanwie włóczką lub perełkami wyszyty. Deseni stosownych znajduje się zapas znaczny w ubiegłych numerach Tygodnika.



N. 25. Postument do cygar. Zobacz ryc. 29 i 30 w Tyg. Mód N. 36

N. 28. Deseń na poduszkę do kanapy. Aplikacja en relief. Część środkowa na ciemnym suknie. Wielkość naturalna do rycina 27.



N. 29. Kaftanik muślinowy paskiem przepasany.

N. 25. Postument do cygar.

Robota fantazyjna. Zobacz ryc. 29 i 30 w N. 36 Tygodnika.

Postument bronzowy mieszczący 18 cygar, ma w dalnéj części oprawione 3 medaljony, odrobione na zielonéj materji, podług wzoru naturalnéj wielkości ryc. 29 w N. 36 Tygodnika. Główne kontury robią się kordonkiem złotym, a pojedyncze na deseniu oznaczone linje, jedwabiem kordonkowym białym, ściegiem długim. Pod N. 30 podana rozeta frywolitowa z białéj cieniutkiéj bawełny albo czarnego jedwabiu odrobiona i kolorową materją podłożona, nadaje się także do postumentu. Robotę zaczyna się od zewnętrznego koła z małych i dużych listków złożonego, których obadwa rzędy robi się od razu naprzemian, zaczynając od listka małego wewnątrz obróconego; * 5 pod. węz., 3 piko. 2 pod węz. rozdzielone, 5 pod. węzełkami. Liść duży na zewnątrz obrócony składa się: z 6 pod. węz. 5 pikot. przedzielanych 2 pod. węz., powtórzyć od * razy 11. Liście łączą się za pikoty boczne. Potem robi się kółko środkowe z 24 pod. węz. i 12 pik. odrobione, które połączone jest luźnemi szydełkowemi oczami z pikotami małych listków.

N. 26. Szlaczek gipiurowy.

Podany deseń odznacza się świeżością układu przy łatwości wykonania.

N. 29. Kaftanik pasem przepasany.

N. 29 i 30 przedstawia dwa odmienne, jednym krojem kaftaniki, które czy to pasem przepasane, czy lekko puszczone nosić można do każdéj sukni. Wykrój pod szyją, daje się podłużny, a środek plecców i przody są trochę przedłużone.



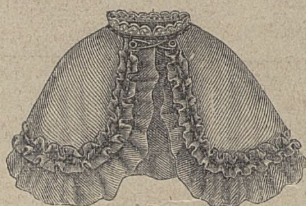
N. 30. Kaftanik z czarnego tiulu albo grenadiny.



N. 31—32. Sukienka dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Krój N. VIII Fig. 18—20.



N. 34. Pasek do noszenia niemowlęcia. Zob. ryc. 3.



N. 33. Pelerynka do sukni 31 i 32.

Dalszy ciąg opisu N. 37 nastąpi w następnym dodatku Tyg. Mód.



N. 35. Suknia perkalikowa z kołnierzem muślinowym.— Zobacz cały kostium ryc. 17 w Tyg. Mód. N. 37.



N. 36. Stanik z karoczkiem z materjału w paski.